BESTIARIUSZ SŁOWIAŃSKI

Paweł Zych Witold Vargas

BoSz

LEGENDARZ

Paweł Zych Witold Vargas

BESTIARIUSZ SŁOWIAŃSKI

RZECZ O SKRZATACH,
WODNIKACH I RUSAŁKACH

BOSZ

Teksty i koncepcja graficzna
Paweł Zych

Ilustracje
Witold Vargas 8, 9, 13, 28, 29, 35, 45, 51, 68, 70–73, 76–79, 82–85, 92, 93, 96–101, 110, 111, 119, 122, 123, 132, 134, 135, 141, 146, 147, 153, 155–157, 161, 164–169, 174–177, 184–187, 194, 195
Paweł Zych 1, 5–7, 10–12, 14–27, 30–34, 36–44, 46–50, 52–67, 69, 74, 75, 80, 81, 86–91, 94, 95, 102–109, 112–118, 120, 121, 124–131, 133, 136–140, 142–145, 148–152, 154, 158–160, 162, 163, 170–173, 178–183, 188–193, 196–207, okładka

Redakcja
Anna Chudzik

Korekta
Ewa Rogucka

DTP
Jakub Kinel, Agnieszka Rymarowicz, BOSZ

Przygotowanie do druku
Studio Kolor, Rzeszów

Druk
Read Me, Łódź
Printed in Poland

Wydanie pierwsze, dodruk
Olszanica 2014

Copyright by BOSZ
Copyright by Witold Vargas
Copyright by Paweł Zych

BOSZ
38-722 Olszanica 311
Biuro: 38-600 Lesko
ul. Przemysłowa 14
tel. +48 13 469 90 00
faks +48 13 469 61 88
e-mail: biuro@bosz.com.pl
www.bosz.com.pl

ISBN 978-83-7576-221-1

Studiując rodzime baśnie, podania i legendy, odnosimy nieodparte wrażenie, iż nasi przodkowie kochali niesamowite opowieści. Czy to przy pasterskim ognisku, czy w zadymionej chłopskiej chacie, czy też w modrzewiowym dworku – po zapadnięciu zmroku snuto dziwne i tajemnicze historie. Czasem mroczne, a czasami wesołe, tajemnicze i rubaszne, straszne lub wzruszające, do śmiechu i ku przestrodze, zawsze jednak oryginalne, nieskrępowane niczym poza fantazją autora. Co i rusz pojawiały się w nich utopce, wąpierze, strzygi, diabły, duszki, zjawy oraz inne fantastyczne istoty. Przez setki lat historii naszego kraju powstał olbrzymi, barwny i ludny świat polskich wierzeń ludowych. *Bestiariusz*, który trafił do Państwa rąk, jest skromną próbą zilustrowania tego bogactwa i ukazania choćby jego części współczesnemu Czytelnikowi. Zapraszamy do podróży śladami opowieści naszych przodków, mitów pełnych słowiańskiej magii tak rzadko obecnej we współczesnej polskiej kulturze.

Wydanie *Bestiariusza*, które trzymają Państwo w ręku, ma na okładce logo serii LEGENDARZ. Zachęceni pozytywnym odzewem Czytelników chcemy w niej zebrać i zilustrować wszystkie niesamowitości z naszych pięknych polskich przekazów ludowych. Druga książka z tego cyklu – *Duchy polskich miast i zamków* już się ukazała, a kolejne są w przygotowaniu. Zapraszamy wszystkich chętnych do dzielenia się własnym doświadczeniem i spostrzeżeniami na naszym profilu FB www.facebook.com/BestiariuszSlowianski i stronie www.legendarz.pl. Tam znajdą Państwo także różne ciekawostki z magicznego świata, niepublikowane rysunki, konkursy i informacje o naszych spotkaniach autorskich, odczytach i innych wydarzeniach.

Autorzy

AITWAR to litewskiego pochodzenia duch domowy, który w zamian za ciepły kąt do spania i codzienną porcję strawy znosił swym gospodarzom do chałupy różne dobra. Miał dziwaczną postać małego skrzydlatego węża z głową ptaka i rozłożystym ogonem, przywodzącym na myśl wyliniałą miotłę. Każdej nocy aitwar zrywał się ze swego legowiska, ulatywał przez komin i znikał na długie godziny. Krążył nad wsią, żarząc się słabym światłem. Upatrzywszy sobie jakieś gospodarstwo, wlatywał tam bezszelestnie i kradł to, co wpadło mu w oko – nie był przy tym wybredny; brał zboże, pieniądze, domowe sprzęty, ale także siano, kartofle lub koniczynę. Kiedy aitwar szybował obładowany towarem z powrotem do swych opiekunów, dyszał ciężko, a z jego kity sypały się tysiące iskier. Upodobniało go to do spadającej gwiazdy, dlatego chłopi, widząc owo zjawisko astronomiczne, zawsze żegnali się znakiem krzyża. Wierzyli, iż to pierzasty demon powraca właśnie z udanej złodziejskiej wyprawy.

Spadające gwiazdy wiązano nie tylko z postacią aitwara. Ludzie mieli wiele wyjaśnień dla tego zjawiska. W pogańskich czasach wierzono na przykład, że każdy człowiek ma swoją, tylko jemu przypisaną gwiazdę, która spada z chwilą śmierci właściciela.

ANIOŁY to istoty duchowe żyjące w niebie, schodzące na ziemię tylko wtedy, gdy mają wypełnić zadanie wyznaczone im przez Boga (greckie *ángelos* znaczy „posłaniec"). Choć zgodnie z nauką Kościoła katolickiego nie posiadają one ani ciała, ani tym bardziej płci, nasi przodkowie wyobrażali je sobie jako niezwykle urodziwych, uskrzydlonych młodzieńców o jasnych włosach i błękitnych lub białych szatach.

Pomimo swej łagodności i dobroci anioły nie zdobyły sobie wśród mieszkańców dawnej Polski zbytniej popularności. Owszem, pojawiały się czasem podania o tym, jak te niebiańskie istoty ostrzegały kogoś wyjątkowo pobożnego przed nadchodzącym kataklizmem czy napominały jakiegoś szczególnie krnąbrnego grzesznika, by się opamiętał. Prawdą jest też, że żadna szanująca się grupa kolędników nie obeszłaby się bez postaci anioła. Ale gdzież tam – jeśli chodzi o popularność – aniołom do ich złych kuzynów – diabłów. Tych zawsze i wszędzie było pełno. W opowieściach, podaniach, legendach i w sprośnych przyśpiewkach roił się kolorowy tłum upadłych aniołów o setkach różnych imion. Cóż, w końcu nie od dziś wiadomo, że zło sprzedaje się dużo lepiej niż dobro, a diabeł ma rewelacyjny „piar".

Lud wierzył, że anioły przybierają czasem postać skowronków, dlatego darzono te ptaki dużym szacunkiem i sympatią.

BABA to wiekowa kobieta zajmująca się w dawnej polskiej wsi leczeniem i odmawianiem uroków. Zbierała zioła, sporządzała uzdrawiające maści i eliksiry, czarowała, często też odbierała porody. Budziła wśród mieszkańców sioła nabożny szacunek, ale także irracjonalny lęk, podobnie jak inne kobiety, którym udało się dożyć sędziwego wieku. W dawnych czasach dożywanie późnej starości przez mężczyzn nie było zjawiskiem nadzwyczajnym (wbrew obiegowym opiniom w średniowieczu mniej więcej co ósmy mężczyzna liczył sobie ponad sześćdziesiąt lat), natomiast u kobiet, dla których każdy poród był jak „rosyjska ruletka", sędziwy wiek stanowił niespotykaną rzadkość. Starość u niewiasty uważano za coś nienaturalnego. Stąd zapewne pochodziło przekonanie, iż wiele istot demonicznych przybiera postać pomarszczonej i brzydkiej baby. Na dalszych stronach kilka przykładów takich perfidnych stworzeń.

BABA JAGODOWA była ubrana w suknię uplecioną z leśnych roślin, zaś zamiast czupryny rósł jej na głowie wiecheć ziół. Włóczyła się po lasach i straszyła dzieci zbierające jagody i grzyby. Te z dziatek, które były niewystarczająco bystre, by w porę dostrzec jagodową babę i przed nią czmychnąć, demon łapał za szyję i próbował dusić.

BABA GROCHOWA Za odzienie służyły jej wysuszone pęki grochowin, a z głowy miast włosów sterczały łubinowe badyle. Latem lubiła chodzić południową porą po polach obsadzonych grochem czy peluchą. Napotkawszy śpiących w cieniu żniwiarzy, dusiła ich i gryzła. Szczególnie niebezpieczna była dla niepilnowanych dzieci, które chętnie porywała i zjadała…

BABA WODNA była postarzoną wersją rusałki. Podobnie jak wodna nimfa, żyła nad brzegiem rzek i jezior, pląsając nago w świetle księżyca. Można mieć tylko pewne wątpliwości, czy osiągała równie dobre wyniki w uwodzeniu naiwnych młodzieńców.

BABA ŻYTNIA to rodzaj południcy – demona atakującego ludzi pracujących w polu w środku dnia. Jak sama nazwa wskazuje, baba ta na swoje terytorium upodobała sobie łany żyta. Zobaczywszy wśród kłosów jej wysoką, biało odzianą postać, należało rzucić się czym prędzej na ziemię i czekać, aż demon zniknie. Zuchwalcom, którzy tego nie robili, żytnia baba łamała ręce i nogi.

BANNIK lub też łaźnik, był wywodzącą się z pradawnych czasów istotą opiekuńczą związaną z łaźniami. W niewielką banię (bo tak też z ruska zwano ten budyneczek) wyposażone było niemal każde szanujące się słowiańskie gospodarstwo. Świadczą o tym nie tylko odkrycia archeologiczne, ale także liczne zapiski odwiedzających nas arabskich kupców, pozytywnie zaskoczonych wysokim poziomem higieny w tej części Europy.

Bannik miał postać karłowatego dziadka z wielką głową i bujną, zwichrzoną fryzurą. Zasadniczo nie bywał groźny dla ludzi. Mieszkał w łaźni, której sumiennie doglądał: pilnował, by ognie w palenisku nie wygasły, kamienie miały odpowiednią temperaturę, a brzozowe witki nie były zbyt twarde. Za te usługi żądał jedynie poświęcenia mu codziennie cebrzyka wody.

Tak to sobie przez wieki żył bannik spokojnie obok ludzi. Z czasem jednak zaczęły powstawać miasta, a w nich nowego typu duże publiczne łaźnie. W średniowieczu nastąpił ich prawdziwy rozkwit; sam Kraków w XIV wieku posiadał aż czternaście tego rodzaju przybytków. Ludzie spotykali się w nich, by zażyć kąpieli parowej, pogwarzyć, wypić piwa, zagrać w kości, a nawet skorzystać z usług kobiet do towarzystwa. Nieszczęsne banniki nie mogły już oczywiście nad tym wszystkim zapanować. Łaźnie stały się miejscami bardzo niebezpiecznymi.

Początkiem końca kariery publicznych i prywatnych łaźni oraz opiekujących się nimi banników była wielka epidemia dżumy, która przetoczyła się przez nasz kontynent w drugiej połowie XIV wieku. Po niej to uczeni medycy zgodnie orzekli, iż zarazę wywołało zbyt częste mycie się. Dowodzono, że kąpiel otwiera pory skóry, ułatwiając tym samym chorobie dostęp do naszego organizmu. Dlatego należało unikać łaźni jak ognia, ale za to często zmieniać bieliznę. I tak, wraz ze schyłkiem średniowiecza, banniki utraciły swoje miejsce do życia, a ludzkość wkroczyła w epokę brudu.

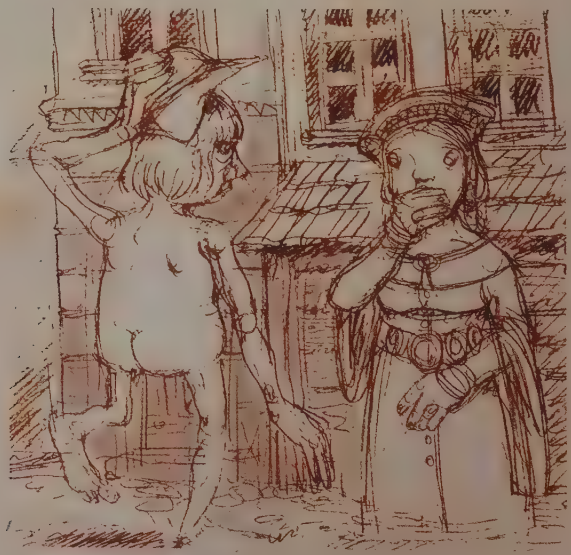

W Krakowie kradzieże ubrań kąpiących się ludzi były tak częste, że do budynku łaźni udawano się z domu nago.

BAZYLISZEK to niewielkie stworzenie zamieszkujące ciemne piwnice, podziemne korytarze i na wpół zawalone lochy pod ulicami dużych i ludnych miast. Stwór ten wykluwał się z koguciego jaja umieszczonego na stercie gnoju, a wysiadywanego przez ropuchę przez okrągłe dziewięć lat. Miał ciało koguta, wężowy ogon i wyłupiaste, żabie oczy – właśnie one czyniły z niepozornego dziwadła morderczą bestię. Potrafił bowiem bazyliszek zabić wzrokiem każdą żywą istotę, na którą spojrzał.

Gdy roku pańskiego 1583 w nie do końca stołecznej jeszcze Warszawie rozeszła się wieść, iż w jednej z piwnic zalągł się bazyliszek i zabił trzy osoby, postanowiono użyć fortelu. Do gadziej kryjówki wysłano skazanego na śmierć więźnia (z obietnicą ewentualnego uwolnienia), odziawszy go uprzednio w „zbroję" utworzoną z luster. Bazyliszek spojrzał w stronę człowieka i zrobił to, czego od niego oczekiwano, czyli po prostu zdechł. Tak oto wynaleziono niezawodny sposób na pokonanie stwora. Co jednak mieli począć mieszczanie, którzy nie dysponowali ani odpowiednio zmotywowanym „ochotnikiem", ani całym stosem – będących, bądź co bądź, towarem luksusowym – luster? Odpowiedź na to pytanie znaleźli mieszkańcy Wilna, którzy w tym samym czasie zmagali się z podobnym problemem. Wiedząc, że ruta ma działanie silnie antymagiczne, sprytni mieszczanie nawrzucali bazyliszkowi do nory całe snopki tego zioła, skutkiem czego potwór padł trupem. Wyszło prosto, tanio i zupełnie bez fantazji.

„Naturalne odium ma ten Wąż z Łasicą i Rutą, dlatego te zwierzątka w pysk biorą rutę jako oręże nań mocne, a tak od jadu bazyliszka bezpiecznemi zostają. W jamę samą też wsadziwszy Adwersarkę jego, ginąć musi".
Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny*

BEŁTY zwane również błędami, to demony polne, które wabiły podróżnych na bezdroża. Gnieździły się w pobliżu gościńców i traktów, gdzie sobie znanymi sposobami powodowały u ludzi chwilowy brak orientacji w terenie. Nie wiedzieć czemu, szczególne upodobanie znalazły sobie w myleniu dróg osobom opuszczającym wieczorem karczmy i zajazdy. Często więc dawniej bywało, że nasz przodek wracał z oberży nad ranem obszarpany, posiniaczony i bez grosza przy duszy, twierdząc, że to bełt mu w głowie namieszał. Złośliwi twierdzą, iż choć złośliwy demon już zniknął z naszego krajobrazu, samo zjawisko „pomroczności" pozostało.

Już w średniowieczu na skrzyżowaniach szlaków handlowych czy przed ważniejszymi miastami stawiano znaki informacyjne. Choć oznakowanie drogowe nigdy nie było w Rzeczypospolitej zbyt dobre i niewiele się w tej materii od wieków zmieniło, to warto wiedzieć, że najstarszy zachowany polski znak drogowy – stojący w Koninie kamienny słup – pochodzi z 1151 roku.

BEZKOST był szczególnie obrzydliwym podgatunkiem wampira. Podobnie jak inne upiory, powstawał z człowieka, który po śmierci, miast gnić sobie spokojnie w płytkiej mogile, uparcie wracał na powierzchnię, by wysysać krew z żywych. Jednak podczas gdy zwykłe wampiry zachowywały z grubsza ludzkie kształty (choć zamiast kości miały elastyczną chrząstkę), u bezkosta szkielet w ogóle nie istniał. Demon przypominał worek, który wypełnia się krwią ofiary. Taka budowa pozwalała mu przeciskać się przez najmniejsze szczeliny i docierać do najlepiej nawet ukrywających się ludzi.

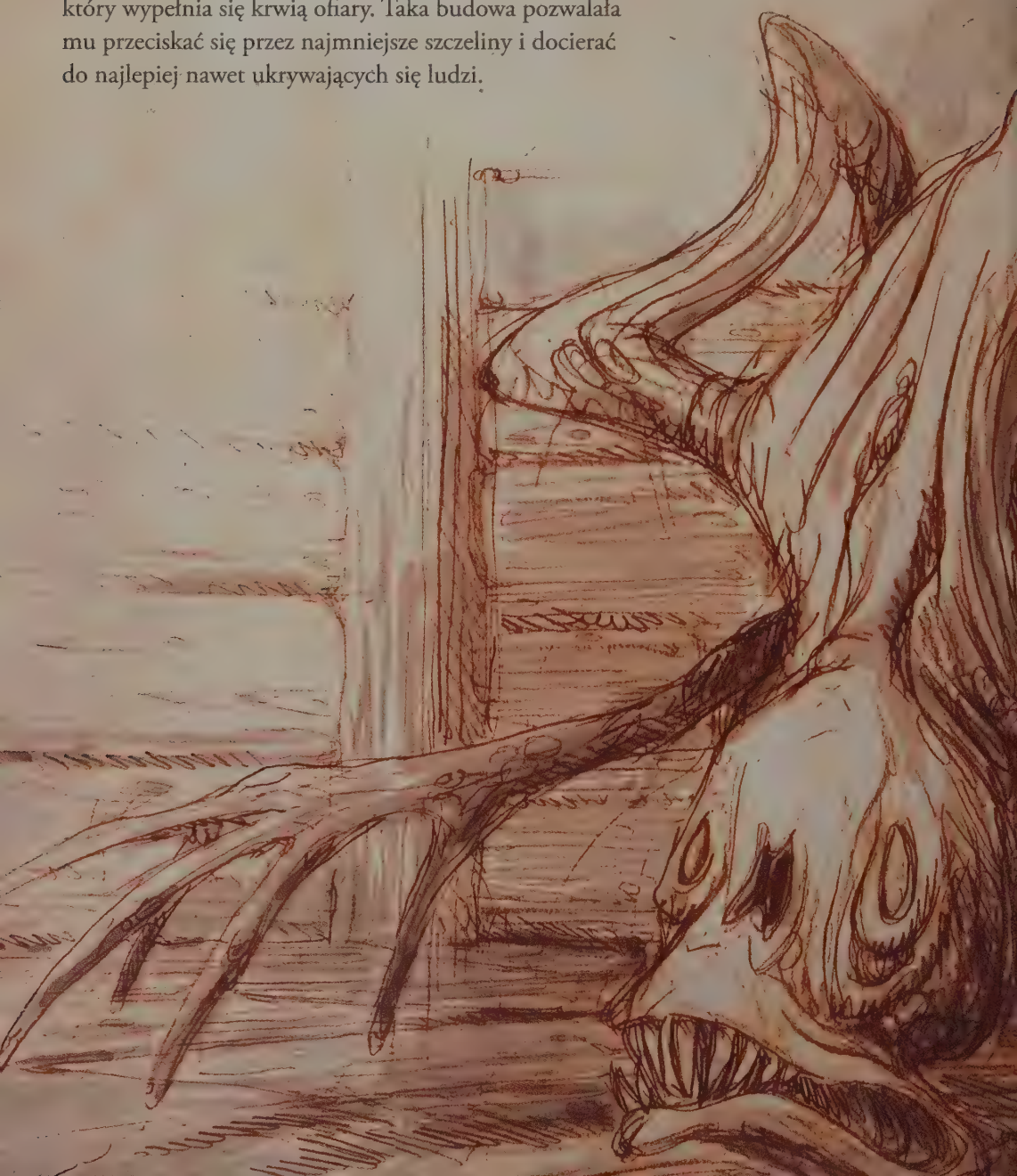

BIALI LUDZIE to małe, ruchliwe stworki spokrewnione z krasnoludkami, jednak w przeciwieństwie do nich wyjątkowo wredne i niebezpieczne. Występowały na Warmii i Mazurach, gdzie zamieszkiwały przydrożne kałuże, w uśpieniu czekając na swe ofiary. Kiedy przez stojącą wodę przejeżdżał wóz, wdrapywały się na niego i niepostrzeżenie wczepiały się w fałdy ubrań pasażerów. W nocy biali ludzie opuszczali swoje kryjówki, by wejść śpiącym „nosicielom" przez usta lub nos do brzucha. Wywoływali przez to u ofiar ciężkie choroby, najczęściej febrę lub białaczkę, przy czym febrą czy też zimnicą określano dawniej wiele chorób, których wspólnym objawem była bardzo wysoka gorączka. Wśród nich dominowała malaria. Występowała ona kiedyś

dość powszechnie na terenach Rzeczypospolitej, a wyparta została do tropików dopiero w XVII wieku na skutek oziębienia klimatu.

Sposobów na walkę z białymi ludźmi i wywoływaną przez nich febrą było wiele. Od prostego spożywania źdźbła starej miotły na kanapce z masłem, przez picie wyszukanych napitków z okowity i suszonych oczu raka startych w moździerzu, aż po czysto magiczne chuchanie w otwór wywiercony w drzewie i zatykanie go kołkiem ze słowami: „Zostań tam, febro!". Jednak żadne działanie nie dawało gwarancji pełnego powrotu do zdrowia. Dlatego też jeszcze sto lat temu każdy Mazur nieporównywalnie chętniej wdepnąłby bosą stopą w parujący krowi placek, niż zanurzył nogę w najpłytszej choćby kałuży.

BIEDA była nieśmiertelnym demonem wędrującym po świecie pod postacią niezwykle wysokiej, chudej jak patyk kobiety odzianej w postrzępione łachmany. Wybrawszy gospodarstwo, w którym postanowiła się osiedlić, zjawiała się tam pod postacią wróbla, polnej myszy lub jakiegoś przedmiotu (np. kawałka drewna). Jej obecność wywoływała natychmiast falę rozmaitych nieszczęść: bydło zdychało na nieznaną chorobę, wybuchały gwałtowne pożary, a plaga gryzoni wyjadała cały zapas zboża. Jak więc można się spodziewać, bieda była w przeciętnej polskiej chacie niezbyt pożądanym gościem. Niespecjalnie jej to przeszkadzało i, jak to często mają w zwyczaju goście, kompletnie nie wyczuwała momentu, kiedy powinna się wynieść i wrócić tam, skąd przyszła. Nawet doprowadziwszy swych gospodarzy do zupełnej ruiny, wierna jak przygarnięty kundel, zostawała przy nich do samego końca (to znaczy ich końca).

Gwoli sprawiedliwości należy jednak podkreślić, że choć bieda zabierała swym gospodarzom środki do życia, to przecież przynosiła im wiele niewymiernych korzyści. Niechętny jej lud musiał to przyznać, układając znane jeszcze dziś przysłowia. Tak na przykład oświecała bieda nawet najbardziej oporne na wiedzę umysły („Bieda dokuczy

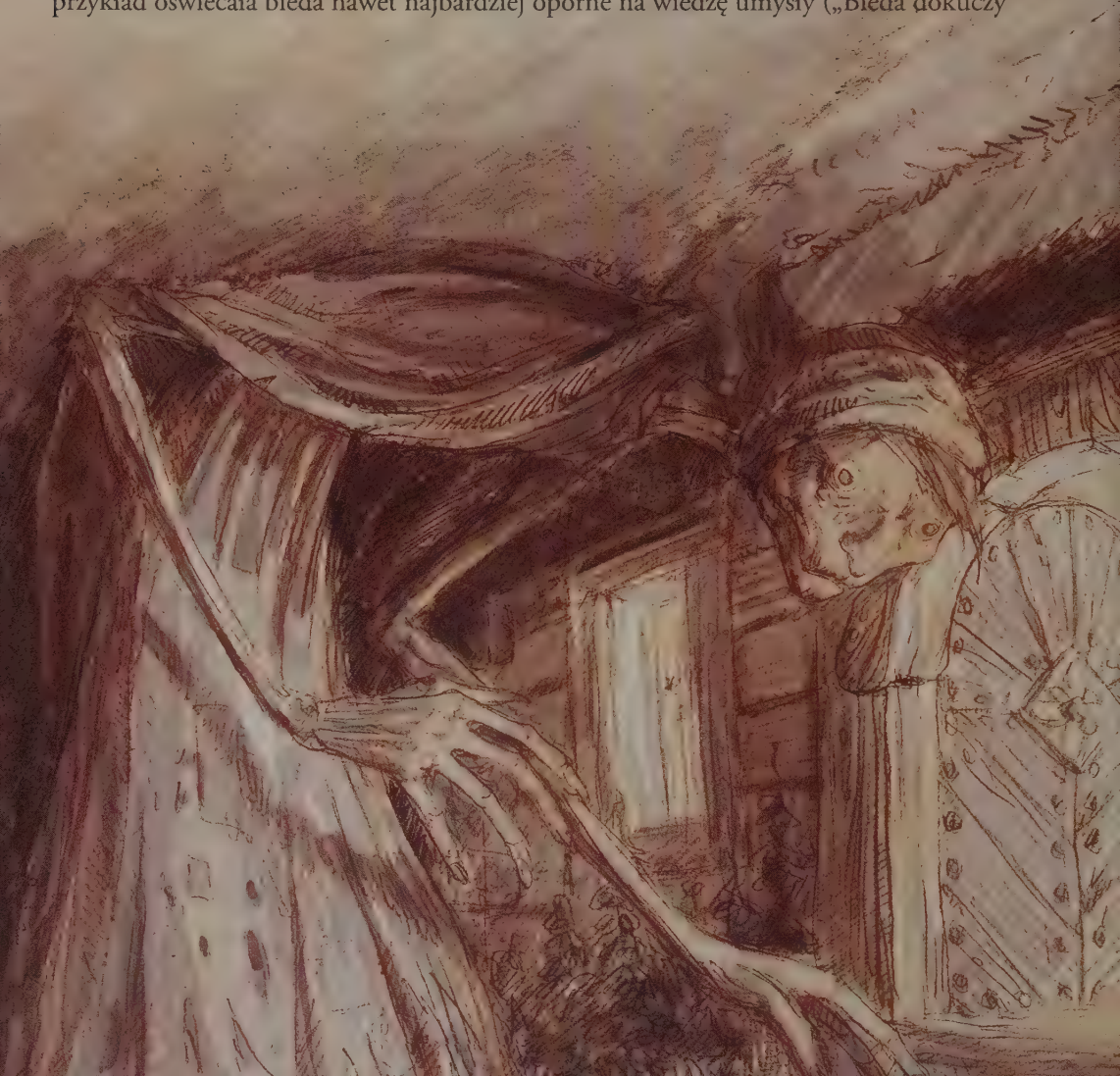

i rozumu nauczy") i zadzierzgała przyjaźnie trwalsze nawet niż te wyniesione z wojska („Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie").

Mimo tych niewątpliwych zysków natury intelektualnej wynikających z posiadania w swym gospodarstwie biedy, nasz przodek starał się ją wszelkimi sposobami przegonić. Było to jednak niezwykle trudne przedsięwzięcie, o czym mówi z kolei inne przysłowie „Goń biedę drzwiami, to wlezie oknem". Nawet wrzucenie schowanej w polanie biedy do ognia czy zalanie jej ukropem nie rozwiązywało problemu. Demon, piszcząc przeraźliwie, opuszczał dany przedmiot i wchodził w nowy. W zasadzie jedynym znanym sposobem na pozbycie się niechcianej lokatorki było przekazanie jej komuś innemu (najlepiej nielubianemu krewnemu – z tych, co to dorobiwszy się, natychmiast zapomnieli o uboższej części familii). W tym celu należało biedę sprytnie skłonić do wejścia w jakieś naczynie, zatkać je i zakopać na rozdrożach, a następnie rozpuścić plotkę o ukrytych tam skarbach. Chciwy kuzyn skuszony wizją łatwego zysku wykopywał naczynie, wypuszczał biedę i sam zaczynał odkrywać uroki życia wolego od trosk o dobra materialne, bo przecież „Kto nie ma nic, nie ma nic do stracenia".

BIES to demon przedchrześcijańskiej jeszcze proweniencji. Zamieszkiwał pradawne bory, puszcze i niedostępne bagna Słowiańszczyzny, skąd zsyłał na ludzi przeróżne klęski. Nasi przodkowie oskarżali go o wszelkie zło, jakie ich spotykało na ziemi. Dlatego też wraz z nadejściem chrześcijaństwa, bies w naturalny sposób został utożsamiony z diabłem, zatracając zupełnie indywidualne cechy.

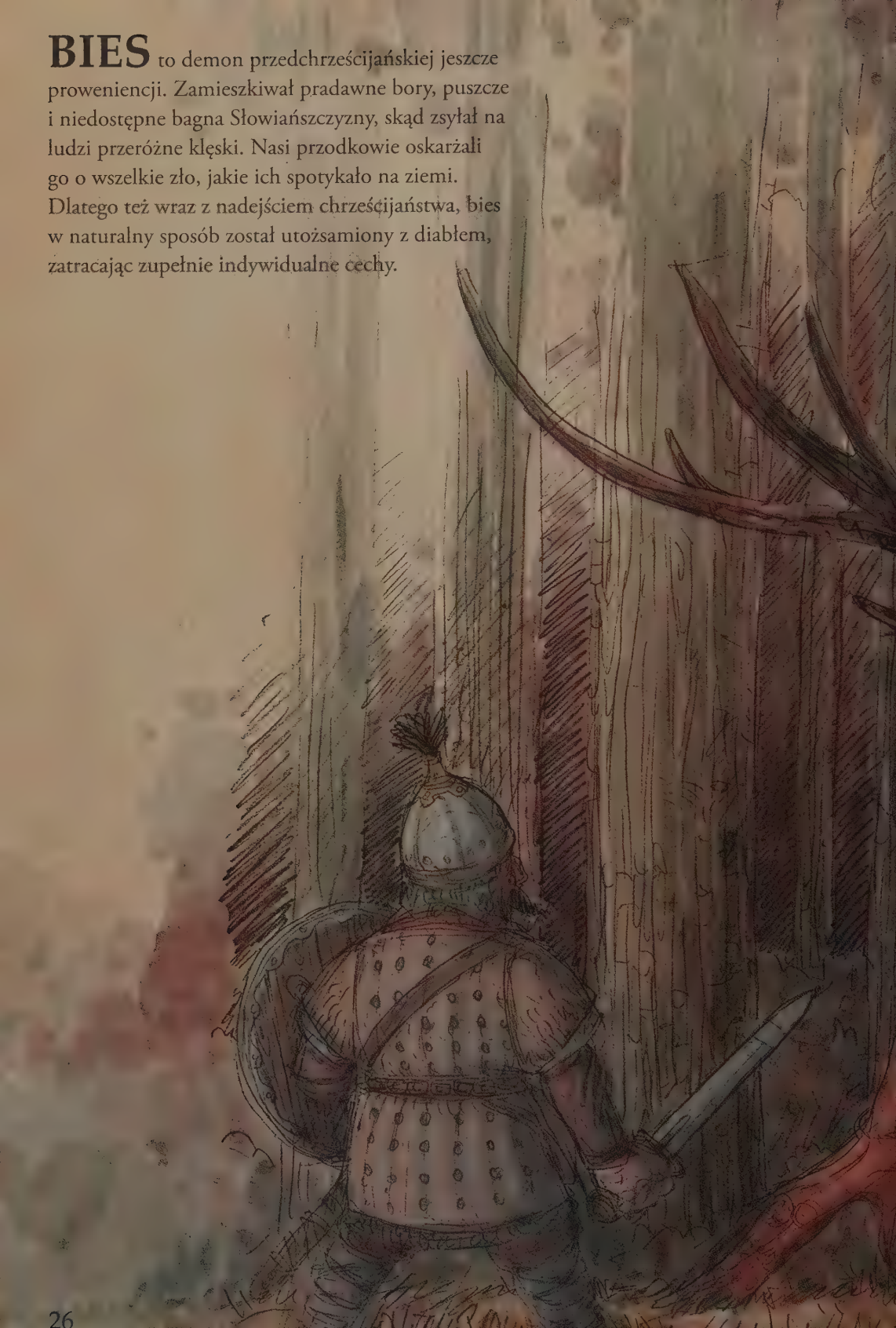

BŁĘDNE OGNIKI to dusze zmarłych pokutujące na ziemi jako bezkształtne światła. Występowały na torfowiskach, podmokłych łąkach i cmentarzach. Ich zimne, blade błyski dojrzeć można było z oddali, natomiast kiedy ktoś chciał się do nich zbliżyć, natychmiast znikały – a to dlatego, że błędne ogniki pilnowały często swoich skarbów, zdobytych jeszcze za życia (najpewniej w niegodziwy sposób – w końcu kto zdobywa skarby uczciwie?). Nawet po śmierci były o swoje bogactwo zazdrosne. Przy czym ogniki nie zachowywały się wobec ludzi agresywnie – nie musiały. Plotka (która z czasem zyskała status prawdy), jakoby błędne ogniki ukazywały się człowiekowi tuż przed śmiercią, skutecznie odstraszała potencjalnych amatorów szybkiego wzbogacenia się.

BŁOTNIK Ten podobny do owada stwór zamieszkiwał bagna i niedostępne błota od Podkarpacia po Kaszuby. Latając nad trzęsawiskami, wydzielał słabe fosforyzujące światło. Wabił w ciemnościach zagubionych podróżnych, których noc zaskoczyła w drodze, i wciągał nieszczęśników w śmiertelną pułapkę. Był też błotnik bardzo niebezpieczny dla nierozsądnych śmiałków poszukujących „palących się skarbów". W dawnych wiekach powszechna była wiara, iż zakopane w ziemi pieniądze każdej nocy „oczyszczają się" – płonąc, przez co można je łatwiej znaleźć i zagarnąć. Dlatego wielu głupców podążało za bagiennymi światełkami tylko po to, by miast wymarzonego bogactwa, zażyć przymusowej błotnej kąpieli.

Po stalowem, polewanem błocie,
pełnem nieba, drzew i kamieni,
niby wichrem popędzane kwiecie,
wachlarzami wiewając strusiemi,

bałownice na zabawę biegły,
aby na śmierć zatańczyć tęsknotę,
i gubiły paciorki i perły,
i wracały się po nie z powrotem.

Biegły zwinne i rozwiane w tańcu,
w pantofelkach różowych i białych,
a wśród błota na srebrnym gościńcu
Błotnik leżał i ziewał nieduży.

Podniósł na nie wzrok okrągły, sowi,
i lecące w nieskończonym walcu
chwytał głupio za jedwabne nogi
zostawiając na nich ślady palców...

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Błotnik*

BOBO bobak, bebok, bobok czy wreszcie osławiona buka, to różne imiona jednej istoty, którą straszono dzieci na niemal całym obszarze Słowiańszczyzny. Nazwa tego niewielkiego wzrostem demona wywodzi się od rzymskiego *bubo,* czyli „puchacz". Bobo, będące istotą nocną, zamieszkiwało ciemne piwnice, rzadko odwiedzane strychy i inne miejsca, w których mogło spokojnie przeczekać dzień. Zaraz po zapadnięciu zmroku wychodziło z ukrycia, by znęcać się nad struchlałą z przerażenia dziatwą. Zachowanie jego nie miało, wbrew intencjom rodziców, funkcji wychowawczej, gdyż obrywało się zarówno urwisom, jak i dzieciom grzecznym. Jedynym sposobem na uspokojenie tajemniczego bobaka była, jak w przypadku większości demonów domowych, porządna porcja strawy pozostawiona mu przez gospodarzy.

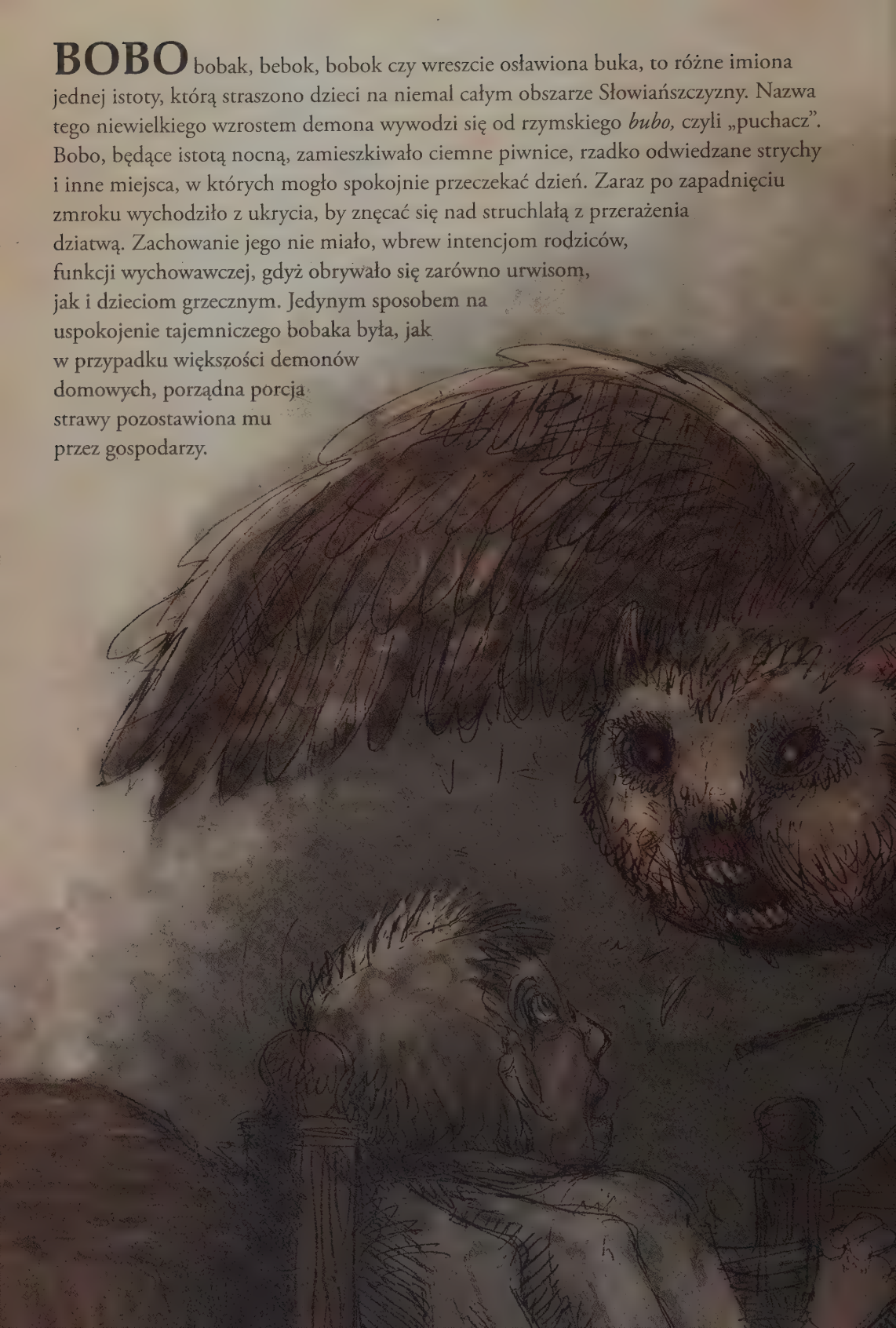

BOGUNKI to wodne rusałki zamieszkujące dorzecze Bugu, od której to rzeki wzięły swoją nazwę. Jak większość nimf wodnych, przybierały postać pięknych, jasnowłosych niewiast. Flisacy płynący do Gdańska w szkutach po brzegi wyładowanych zbożem często słyszeli nawoływania tych „rzecznych syren". Nie były to chyba zbyt atrakcyjne pieśni, skoro nawet fachowcy nie bardzo potrafili odróżnić je od dźwięków wydawanych przez wodnego ptaka – bąka, a jemu dźwiękowo zdecydowanie bliżej do ryków rannej krowy niż słowiczych treli. Braki w warsztacie wokalnym nadrabiały bogunki wyzywającym wyglądem: często pląsały po przybrzeżnych szuwarach wystrojone tylko w korale i wianek wodnych kwiatów splecionych nad czołem. To wystarczyło, by nawet u doświadczonego oryla sprowokować moment nieuwagi kończący się niekiedy tragicznie.

„Samiec bąka odzywa się w miesiącach wiosennych potężnym hukaniem podobnym do ryku krowy »u u u pump«. W locie kracze podobnie jak kruk »krau, grok«".
Jan Sokołowski, *Ptaki Polski*

BOROWY zwany leszym, był prastarym puszczańskim duchem, opiekunem kniei i pasterzem leśnych zwierząt. Ludzie, którzy napotkali borowego, przedstawiali go jako wysokiego, starego mężczyznę o pobrużdżonej twarzy i głowie porośniętej liśćmi zamiast włosów. Swoją trzodę wypasał w najbardziej niedostępnych matecznikach, korzystając przy tym z pomocy wilków. Zazdrośnie strzegł własnych tajemnic przed okiem intruza. Niechcianym gościom plątał ścieżki, rzucał pod nogi kłody (dosłownie) bądź zamieniał się w niedźwiedzia i straszył ich okropnym rykiem. Jego demoniczny wzrok mógł sprowadzić czasową ślepotę lub głuchotę. Ale bywał też borowy pomocny i uczynny: wyprowadzał zagubionych wędrowców z lasu, oddawał gospodarskie zwierzęta, które zabłądziły w puszczy, czy wreszcie chronił dzieci przed zbójcami i dziką zwierzyną.

Borowy pojawiał się też czasem pod postacią niedźwiedzia. Może dlatego upolowanemu misiowi przypisywano tak wiele właściwości leczniczych: „Żółć niedźwiedzia jest pomocna przeciw padającej niemocy i paraliżowi. Oczy wyłupione i na lewym ramieniu powieszone febrę uśmierzają. Sadło dzieciom i starym ludziom na przepukliny i wychodzące wnętrzności. Oko prawe ususzywszy, powieszone na szyi dzieciom, strachy, lękania osobliwe nocne oddala i uśmierza".
Jakub Haur, *Oekonomika ziemiańska generalna*

BOŻĄTKA były to ciche i potulne istoty powstałe z duszyczek zmarłych dzieci, których nie zdążono ochrzcić. Zamieszkiwały w chatach wraz z ludźmi, unikając jednak wzroku żyjących. Często litościwe gospodynie wystawiały bożątkom miseczkę strawy, za co te odwdzięczały się, broniąc złym duchom przystępu do domu.

BRZEGINA Zielonowłosa rusałka zamieszkująca w pobliżu górskich rzek i potoków. W jasne, księżycowe noce można było ją spotkać wśród nadbrzeżnej roślinności, gdzie przechadzała się odziana w zwiewne szaty. Była przyjaźnie nastawiona do ludzi, o czym gorliwie zaświadczali niemal wszyscy mężczyźni, którzy napotkali ją na swej drodze. Mówili też często o skarbie, którego brzegina strzegła, nie precyzując jednak, jak miał on wyglądać.

BUC zwany też dydkiem albo kurzym płuckiem, był straszydłem, które zamieszkiwało w ciemnych zakamarkach domu: na rzadko odwiedzanych strychach, w starych szafach lub pod łóżkami. W nocy buc wychodził, by bić i straszyć niegrzeczne dzieci, a te najbardziej rozwydrzone wrzucał do worka i zabierał ze sobą. Stwór ten przywędrował na nasze ziemie z Rzeszy Niemieckiej, gdzie zwano go Butzenmannem lub po prostu Putzem. Pokraśniałe ze złości, rozłożyste tyrolskie matki często wołały do swoich niesfornych pociech: „Gang mit hindus, der Butzenmann ist drauss!”.

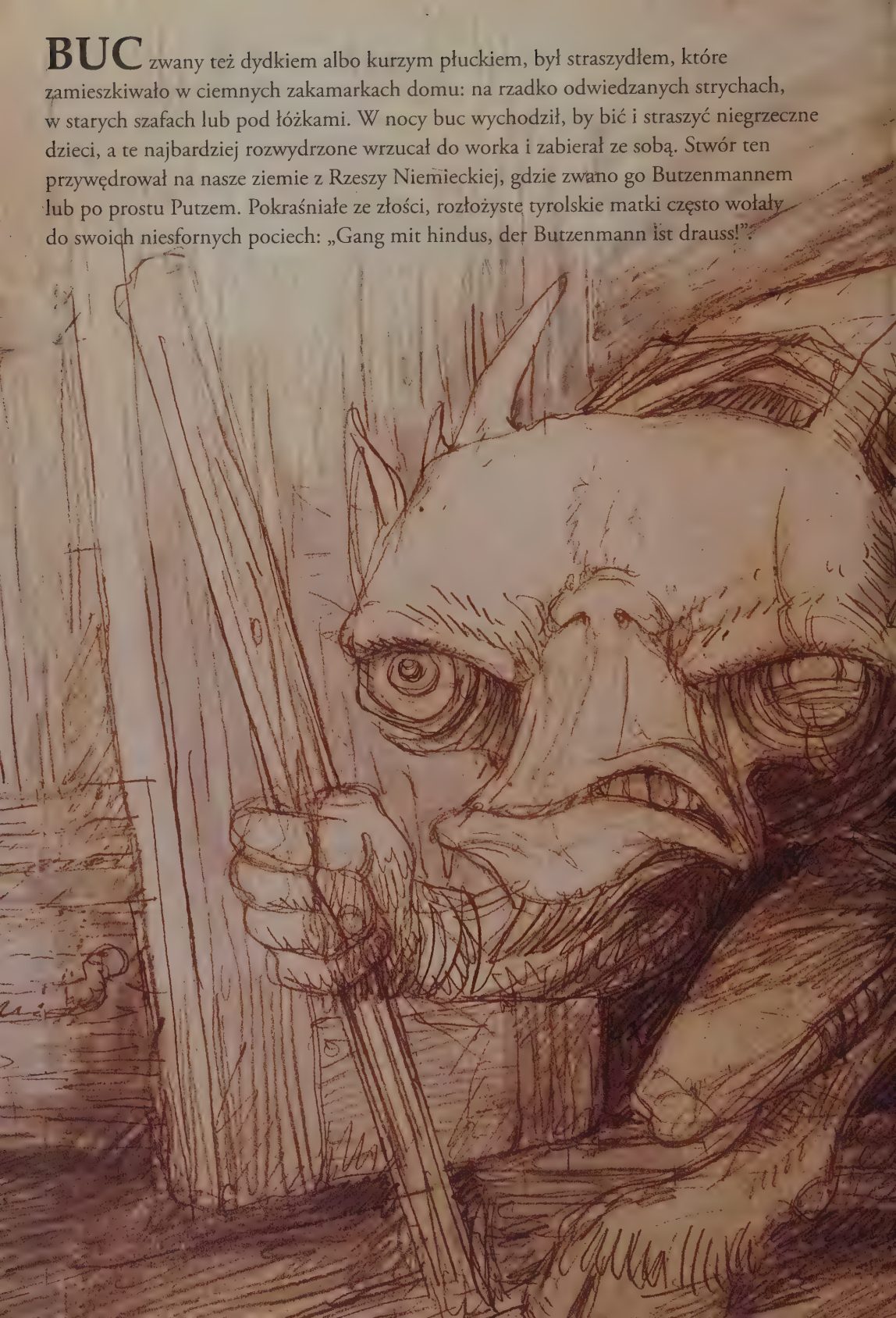

BZIONEK Duch opiekuńczy, który bronił obejścia przed złymi czarami. Miał postać małego człowieczka i żył pod krzakiem czarnego bzu, dlatego też zabobonny lud darzył tę rosnącą w pobliżu ludzkich siedlisk roślinę nabożną czcią. Nie wolno było bzu ścinać, wykopywać ani palić nim w piecu. Wylewano pod nim wodę po obmyciu zmarłego, by odpędzić nieszczęście. Niekiedy, w desperacji, pod krzak bzu zanoszono szczególnie mocno gorączkujące dziecko, by bzionek zabrał z niego chorobę.

Wysuszona i zaparzona kora bzu uważana była za wszechstronne lekarstwo, przy czym kluczowy był sposób jej pozyskania: jeśli strugano ją z góry na dół – zatrzymywała rozwolnienie, jeśli z dołu do góry – leczyła wymioty.

CHOCHLIK to psotny duszek zamieszkujący komory, spiżarnie i lamusy. Uwielbiał płatać ludziom przeróżne psikusy i figle oraz wyżerać zapasy. Był bardzo podobny do zwykłego kota, dlatego nieraz zdarzało się, że rozzłoszczona gospodyni zdzieliła buszującego w domu chochlika mokrą szmatą po grzbiecie. Wtedy rozgniewany duszek wpadał w szał: przewracał kosze, tłukł naczynia i strącał z półek jedzenie. Lepiej więc było go nie drażnić i traktować z szacunkiem, nawet jeśli do złudzenia przypominał złośliwego, kapryśnego i żarłocznego kocura.

CHOWANIEC to kolejny z wcale licznej gromady żyjących wraz z ludźmi stworków, które w zamian za jedzenie i ciepły kąt pomagały w domowych pracach i znosiły gospodarzowi różne dobra (najczęściej zresztą wyszabrowane). Toteż i cieszył się wśród ludu sporą popularnością. Aby wyhodować chowańca (gdzieniegdzie zwanego inkluzem), należało pierwsze złożone przez czarną kurę jajo (tzw. znosek) nosić przez dziewięć dni pod pachą. W tym czasie trzeba było wystrzegać się kąpieli i pobożnej modlitwy. Ostatniego, dziewiątego dnia z jaja powinien wykluć się chowaniec, ale gwarancji nie było. Zdarzali się więc desperaci, którzy potrafili przeciągać taką kurację miesiącami.

U tych, którym dopisało szczęście, stworek zamieszkiwał za piecem lub w kominie i tam też należało zostawiać mu jedzenie. Przy czym menu nie musiało być wyszukane – ot, odrobina kaszy czy ziemniaków. Należało tylko pamiętać, by tych potraw nie solić, gdyż chowaniec, jak większość istot demonicznych, reagował na sól alergicznie.

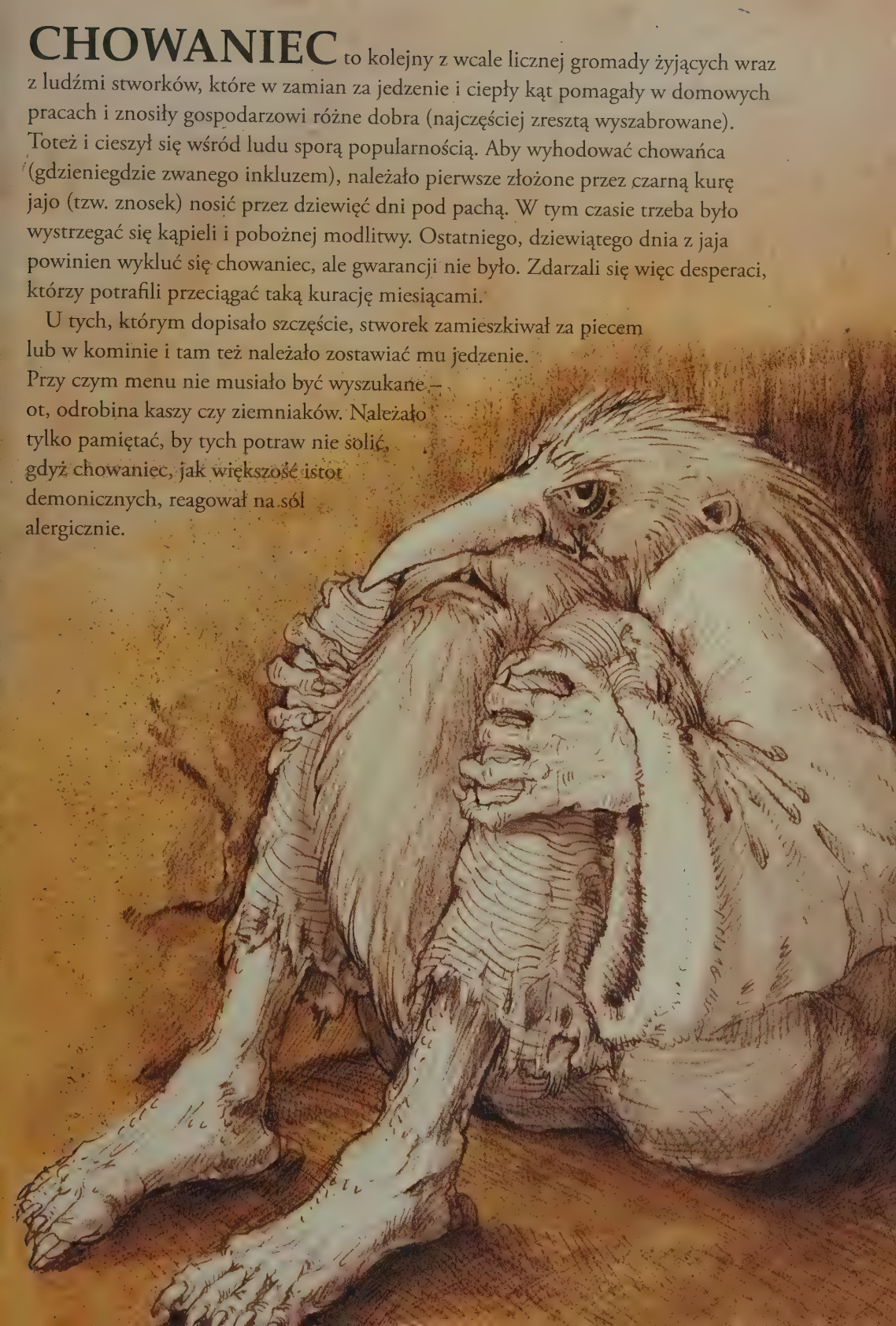

CICHA była demonem morowego powietrza, który na swoje ofiary szczególnie upodobał sobie dzieci. Przemierzała świat pod postacią małej dziewczynki o kruczoczarnych włosach, śniadej cerze i wielkich, urocznych oczach. Tam, gdzie przeszła cicha, usychały rośliny, milkły ptaki i owady, a w powietrzu długo jeszcze czuć było zatęchły, trupi odór. Atakowała znienacka, zjawiała się we wsi lub dworze ubrana w białą sukienkę, z wiankiem z maków na głowie i stalową rózgą w dłoniach. Niezauważenie zbliżała się do bawiących się dzieci i te, których dotknęła, natychmiast padały nieżywe na ziemię. Następnie cicha znikała równie bezszelestnie, jak się pojawiła, by szukać ofiar w następnym przysiółku.

W dawnych wiekach śmiertelność wśród dzieci była ogromna. Przykładowo królowa Marysieńka Sobieska w ciągu całego życia urodziła siedemnaścioro córek i synów, z czego tylko czworo dożyło dorosłości.

CMENTARNA BABA była demonem snującym się nocą w okolicach cmentarzy. Rozgrzebywała groby i rozrzucała kości, zaś napotkanych ludzi łapała w swoje uzbrojone w pazury łapy i próbowała zaciągnąć pomiędzy mogiły.

W średniowieczu cmentarze zakładano przy kościołach i kaplicach, często w samym centrum miasta. Płytkich grobów nie oznakowywano, zaś kwatery często zmieniały „lokatorów". Porośnięty drzewami i krzewami obszar stanowił dla miejskiej biedoty przytułek, toaletę i noclegownię w jednym, dlatego kręcenie się nocą przy cmentarzu nigdy nie należało do rozsądnych zajęć, nawet gdy nie mieszkała tam cmentarna baba.

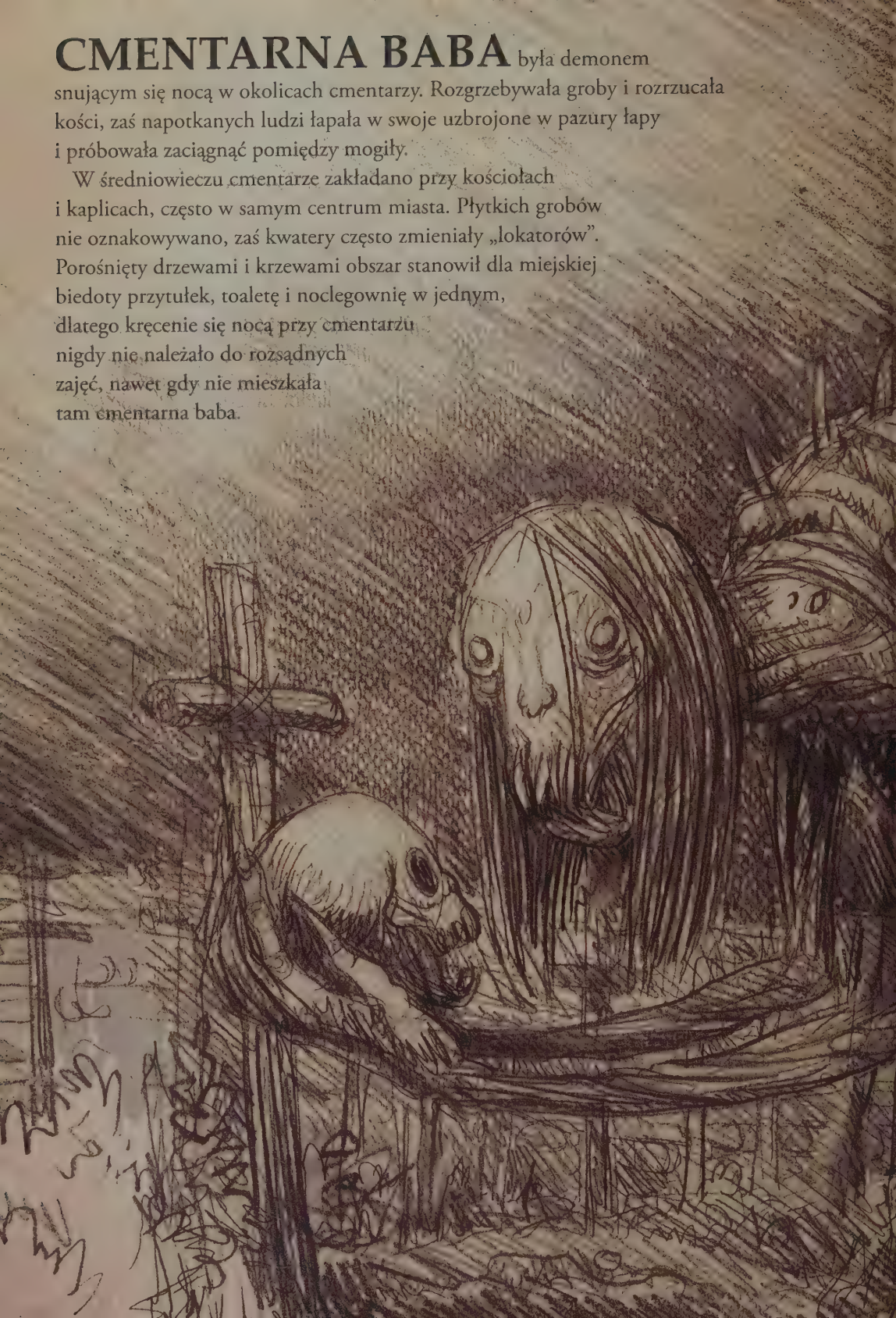

CZARNOKSIĘŻNIK był to człowiek, który, tak jak czarownica, zajmował się magią. W przeciwieństwie jednak do swojej kobiecej odpowiedniczki, robił to w sposób naukowy. W młodości pobierał nauki u starszych kolegów po fachu, później kończył legendarną, mieszczącą się podobno głęboko pod ziemią szkołę dla czarowników, a następnie całe, trwające czasem kilkaset lat, dorosłe życie dokształcał się we własnym zakresie… W swych mrocznych komnatach studiował tajemne księgi, przeprowadzał szatańskie eksperymenty i odprawiał dziwne rytuały. W każdej czarnoksięskiej pracowni roiło się od magicznych woluminów, manuskryptów, różdżek, lasek, powrozów, szklanych kul i luster. A wszystko to służyło nie tyle, by szkodzić ludziom, ale by umożliwić czarownikowi poznanie natury wszechrzeczy. Dla zaspokojenia ambicji gotowy był podpisać pakt z samym diabłem. Z jego pomocą czarnoksiężnik zdobywał potężne moce, niewyobrażalne zdolności i rozległą wiedzę niedostępną zwykłym śmiertelnikom, ale tracił rzecz przy tym najcenniejszą – duszę. Był więc czarownik jaskrawym przykładem tego, że nawet godny pochwały pęd do nauki może okazać się zgubny w skutkach.

Najsłynniejszym polskim czarnoksiężnikiem był niewątpliwie pan Twardowski. Ów szlachcic żyjący w XVI wieku w Krakowie wykształcenie odebrał podobno w Niemczech, choć nie jest to pewne, bo przecież i nasza Akademia Krakowska w dobie odrodzenia oficjalnie kształciła znanych na całą Europę magów, alchemików i astrologów. Niemniej jednak to nie tytuł magistra, ale pakt z diabłem zapewnił czarownikowi moc i sławę.

W zakrystii pochodzącego z początku XVIII wieku kościoła pw. Wniebowzięcia NMP w Węgrowie na Mazowszu znajduje się zwierciadło, które prawdopodobnie pochodzi od sławnego Twardowskiego. Łaciński dwuwiersz zdobiący lustro w przekładzie mówi: „W tym zwierciadle Twardowski pokazywał czary; Bogu jednak należne oddawał ofiary".

CZAROWNICA to kobieta, która dzięki konszachtom z diabłem posiadła umiejętność rzucania czarów i uroków. Swoje magiczne zdolności wykorzystywała zazwyczaj przeciwko ludziom: poprzez zaklęcia, specjalne mikstury i napoje lub przez złe spojrzenie zsyłała na swoje ofiary choroby i nieszczęścia. Przywoływała gradowe chmury, odbierała krowom mleko i sprowadzała zarazę. Wszystko to robiła za podszeptem szatana. Z Lucyferem, swoim oblubieńcem, spotykały się czarownice regularnie na tak zwanych sabatach, czyli zlotach, organizowanych na Łysej Górze. W noc spotkania wiedźmy dosiadały miotły, ożoga czy chlebowej łopaty, smarowały swoje ciała specjalną maścią, wymawiały zaklęcie (np. „Płot nie płot, wieś nie wieś, a ty biesie nieś") i ulatywały kominem.

Na co dzień czarownica nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród społeczności, w której żyła, jednak wtajemniczeni znali sposoby na to, by ją rozpoznać. Na przykład zwykła kobieta piła kieliszek wódki delikatnie, na trzy–cztery razy, a czarownica zawsze jednym łykiem. Czarownicę można też było zdekonspirować, zerkając na nią przez dziurę po sęku w trumiennej desce lub patrząc jej głęboko w oczy, w których zamiast odbicia światła, widać było dwie kozie głowy. Wszystkie te i inne sposoby miały na celu schwytanie i unieszkodliwienie czarownic, a następnie przekazanie ich pod sąd.

Proceder tropienia i palenia czarownic na stosach przywędrował do Polski w epoce renesansu prosto z Niemiec, nigdy jednak nie przyjął nawet w dziesiątej części takich rozmiarów, jak u naszych zachodnich sąsiadów… Oskarżenia o czary wnosiły osoby prywatne i rozpatrywały je sądy świeckie (a nie kościelne, jak zwykło się uważać). Pierwszą czarownicę spalono w Polsce

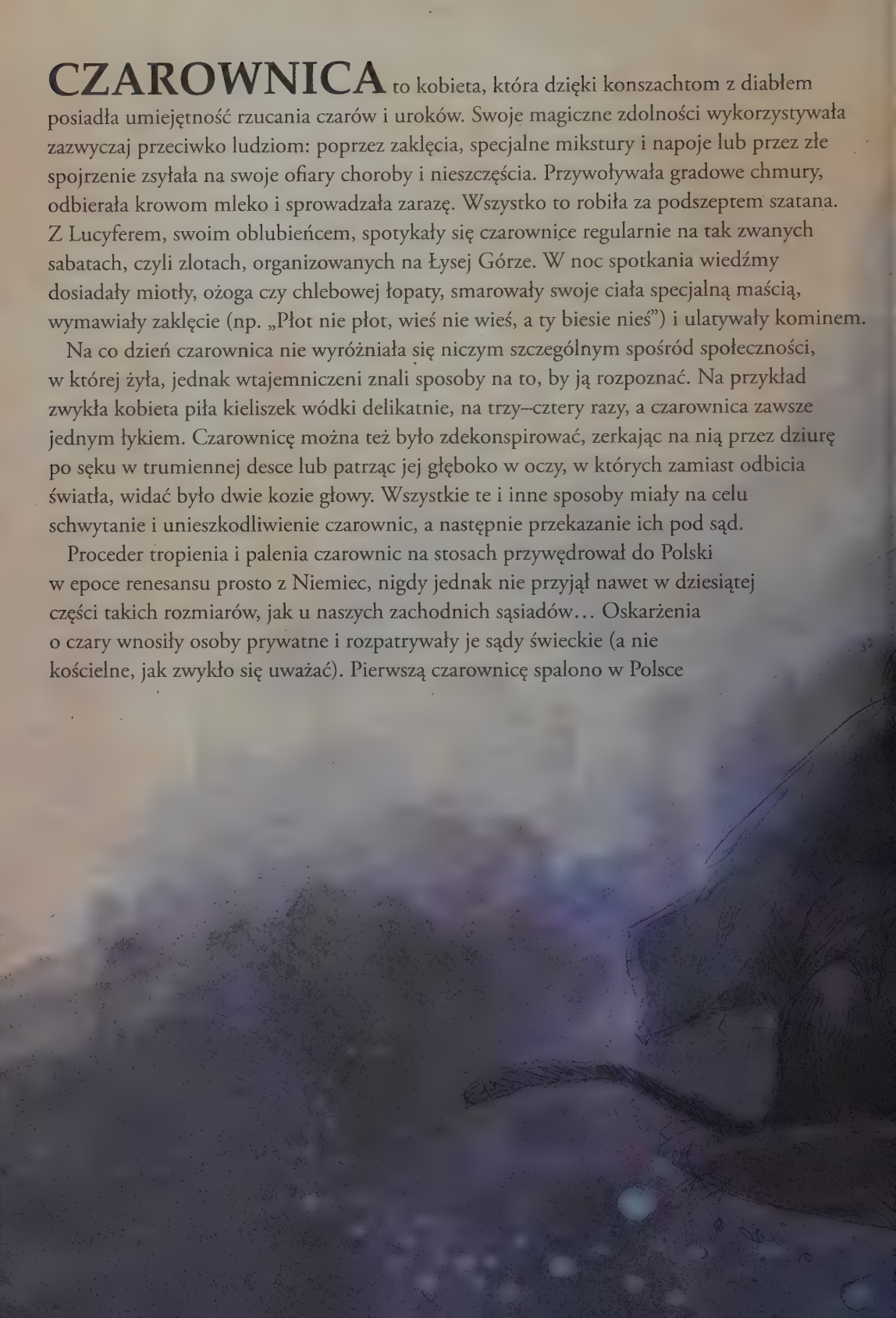

w Chwaliszewie koło Poznania w 1511 roku. Ostatni zaś proces o czary, bardzo zresztą głośny, odbył się w Doruchowie w 1775 roku, kiedy to spalono czternaście kobiet.

Tortury były w tamtych czasach pełnoprawnym środkiem pozyskiwania materiału dowodowego, z czego skwapliwie korzystano, nie tylko zresztą w procesach czarownic. Okrutne „badania" podejrzanej przeprowadzać mógł tylko wykwalifikowany mistrz małodobry (czyli kat). Miało to, jeśli można tak powiedzieć, jeden pozytywny aspekt: jako że wynajęcie fachowca kosztowało sporo pieniędzy, które musiał wyłożyć oskarżyciel, każdy potencjalny oszczerca zastanowił się kilka razy, nim rzucił fałszywe oskarżenie…

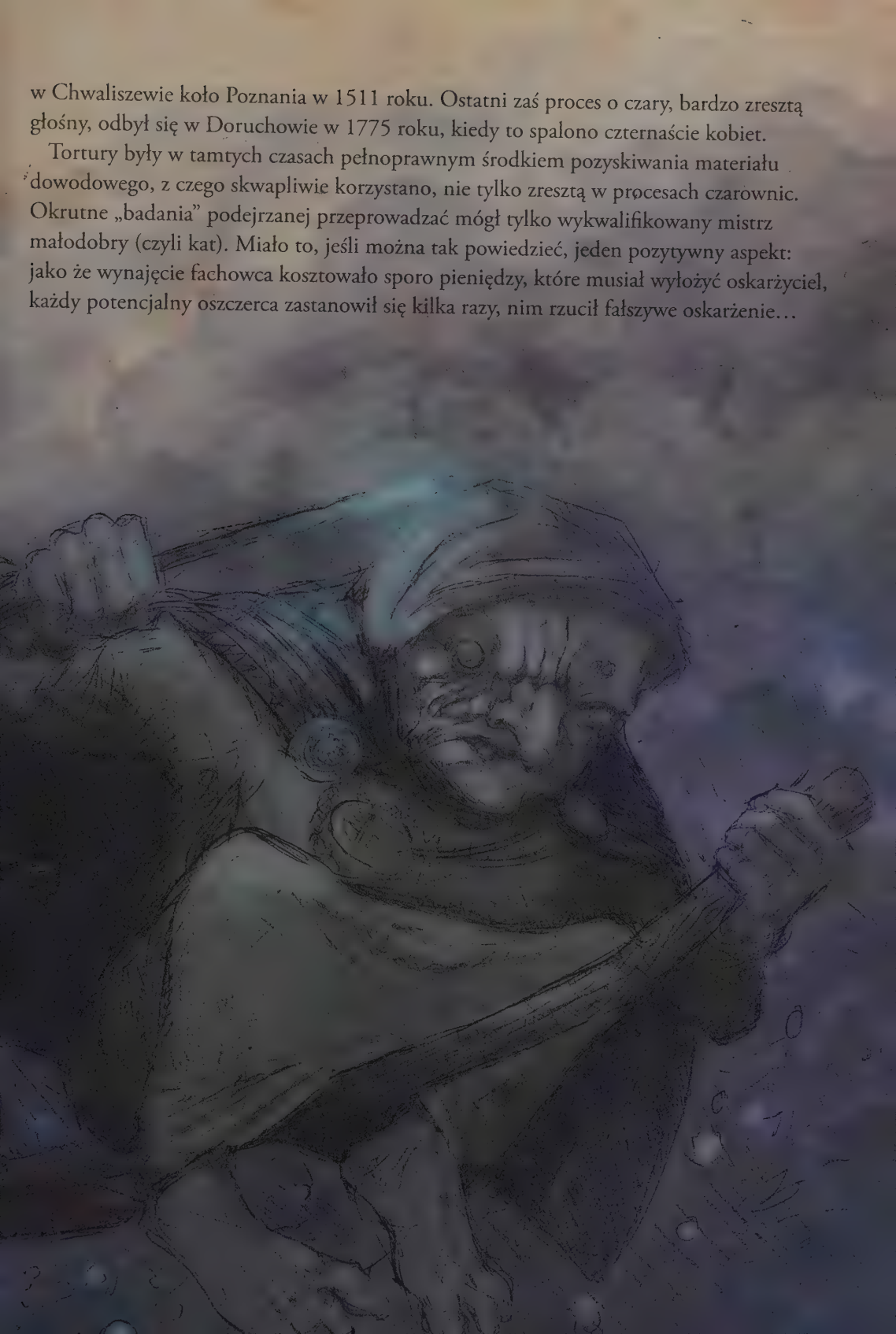

CZART to kolejny ze szkodzących ludziom demonów, znanych jeszcze w prasłowiańskich czasach, a przez chrześcijaństwo zaadaptowanych jako jedno z wcieleń szatana. Ten kosmaty stwór, pół człowiek, pół kozioł, zamieszkiwał bagna, lasy i nadrzeczne łozy. Rzadko zjawiał się w okolicach siedzib ludzkich, a zawsze tylko po to, by gnębić prosty ludek, zsyłać nań choroby i namawiać do wszelkich bezeceństw.

Na wskroś pogański czart nienawidził nowej wiary i jej wyznawców. W atakach dzikiej furii często starał się zniszczyć powstające jak grzyby po deszczu kościoły, ciskając w nie olbrzymimi kamieniami… Na skutek interwencji sił niebieskich nigdy nie udawało mu się doprowadzić do końca swych destrukcyjnych planów. Śladem po tych próbach są do dziś leżące w pobliżu różnych świątyń całej Polski „czarcie głazy" i związane z nimi lokalne legendy.

ĆMOK to pochodzący z pradawnych czasów potwór, o którym pamięć najdłużej przetrwała na terenach Wielkopolski, choć i tam nie widziano go już od wieków. Jego skrzydlata, pełna zwierzęcej siły sylwetka rozpięta na nocnym niebie straszy już tylko w opowieściach.

ĆMUCH to tajemnicza istota, której nikt nigdy nie widział osobiście. Ten zamieszkujący w sąsiedztwie jezior, stawów i bagien stworek podobno był wielkości psa, podobno sylwetką przypominał żabę i podobno miał krótki, zakręcający ku górze ogonek. Zawsze w porę słyszał nadchodzących intruzów. O tym, że właśnie się go spotkało, świadczyć miał tylko nagły plusk, jaki rozlegał się, gdy spłoszony ćmuch wskakiwał do wody. Właściwie nie wiadomo, w jaki sposób udawało mu się tak skutecznie unikać ludzkiego towarzystwa. Niejaki wpływ na to miało zapewne wierzenie mówiące, iż ćmuch straszył tylko leniwych ludzi. Jakiemu więc człowiekowi zależało, by po spotkaniu z demonem rozgłaszać, iż ten oficjalnie „namaścił" go na obiboka? – tylko wyjątkowo głupiemu, a w opowieści głupka nikt nie wierzy. Prawdopodobnie właśnie dlatego nikt nigdy nie widział ćmucha na własne oczy.

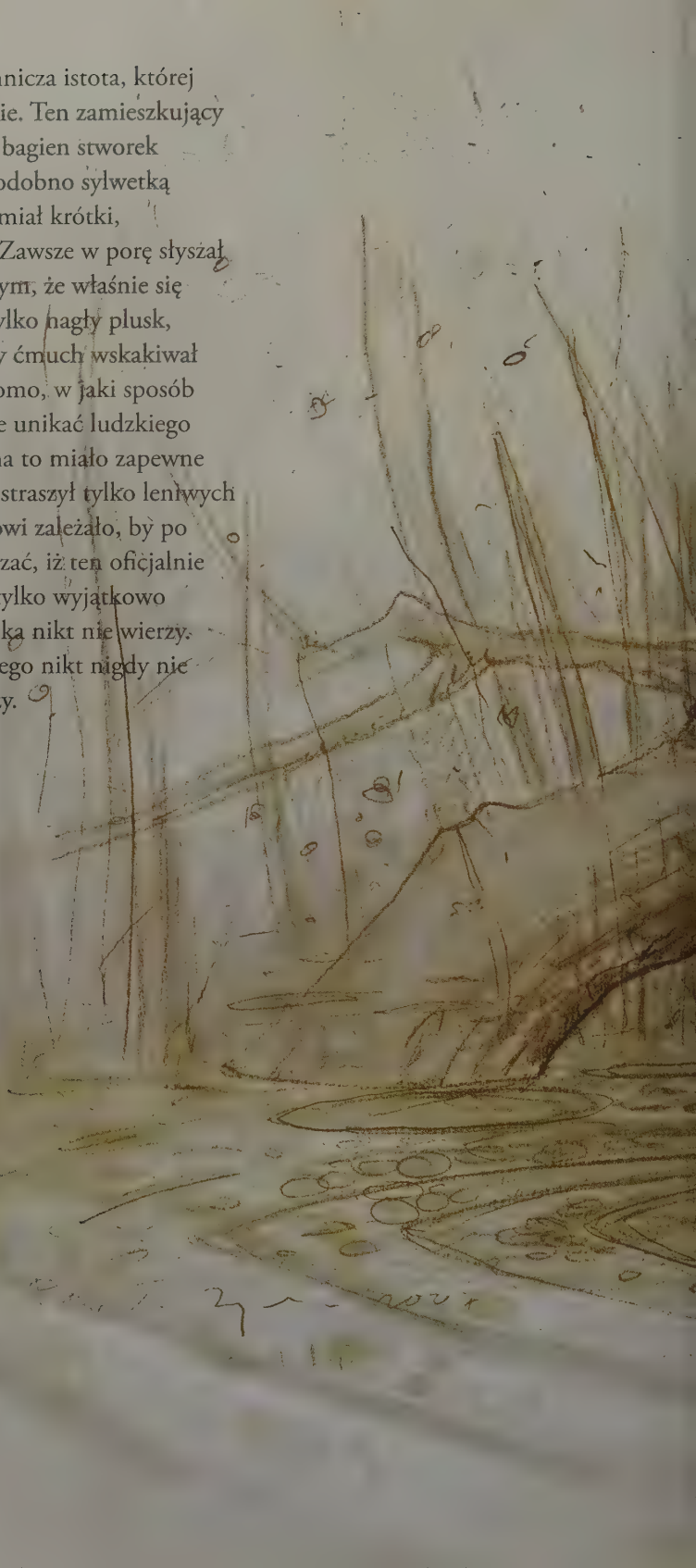

DIABŁY to bodaj najbardziej rozpowszechnione istoty demoniczne zamieszkujące polskie ziemie. Pojawiły się wraz z nadejściem chrześcijaństwa i od razu zawojowały cały kraj. Spotkać je można było wszędzie: na bezdrożach i w gwarnych karczmach, w gęstych lasach i na polach, w starodawnych ruinach, w nadrzecznych zaroślach, a nawet w kościele! Prawie każda wieś miała kiedyś swojego własnego diabła. Psocił on i mącił, skłócał ze sobą sąsiadów, namawiał współmałżonków do zdrady, słowem: sprowadzał ludzi na złą drogę. Czasem, chcąc iść na skróty, zwracał się do konkretnych gospodarzy z propozycją handlową – ludzka dusza w zamian za bogactwo i władzę. O ile w przypadku szlachty taka metoda się sprawdzała, o tyle w kontaktach z chłopstwem diabeł zawsze zostawał wystrychnięty na dudka.

A jak wyglądał? Choć czasem bywał niewidzialny lub pojawiał się pod postacią zwierzęcia, to najczęściej upodabniał się sylwetką i ubiorem do ludzi. Ten kamuflaż pomagał mu w zdobywaniu zaufania potencjalnych ofiar. Jednak nawet niezbyt wprawne oko potrafiło rozpoznać wysłannika piekieł: diabeł najczęściej utykał na jedną nogę (która zamiast stopą zakończona była końskim kopytem), a w gęstej czuprynie lub pod kapeluszem chował niewielkie rogi. Do tego nie miał dziurek w nosie, śmierdział siarką i smołą, a zamiast paznokci miał pazury. Wierzono, że diabeł dobierał sobie oblubienice spośród ziemskich kobiet; najczęściej były to czarownice. O dziwo, zły brzydził się wolnymi związkami i zawsze przed miłosnym zbliżeniem brał ślub z wybraną kobietą.

A oto kilka najbardziej znanych polskich diabłów.

DIABEŁ BORUTA Szlachecki diabeł wywodzący się jeszcze z czasów przedchrześcijańskich. Wraz z powstaniem Królestwa Polskiego opuścił pradawne puszcze i bory, by związać swój los z dziejami naszego kraju. Dowodził Boruta wszystkimi polskimi diabłami. Jako prawdziwy karmazyn miał zmienną i porywczą naturę. Bywał zły i okrutny, ale potrafił też pomagać ludziom i karać występnych grzeszników. Pojawiał się na sejmach, w karczmach i na polach bitew. W łęczyckim zamku – swojej rodowej siedzibie – zgromadził olbrzymie skarby. Jego imię znane było jak kraj długi i szeroki. Dopiero rozbiory położyły kres jego karierze. Skończyła się złota wolność szlachecka, a swojskie biesy odeszły w cień. Po kraju zaczęły panoszyć się cudzoziemskie diabły, dużo bardziej przebiegłe i bezwzględne od polskich kuzynów. Zgorzkniały Boruta zaszył się w ruinach swego zamczyska, gdzie po dziś dzień strzeże skarbów, popija starego węgrzyna i rozmyśla o minionej chwale szlacheckiej republiki.

DIABEŁ FUGAS Niepohamowany żarłok, który został wygnany z piekła i błąka się po ziemi. Wiecznie niezaspokojony głód każe mu zakradać się do dworów i chałup, by podżerać zapasy i ogałacać spiżarnie.

DIABEŁ HEJDASZ to wyjątkowo prostoduszny i naiwny diabeł, przez współbraci uważany za bezużytecznego głupka. Nigdy nikogo nie skrzywdził i nie sprowadził na złą drogę, co zresztą nie dziwi – w przeciwieństwie bowiem do innych diabłów, Hejdasz nigdy nie krył przed ludźmi swojej piekielnej natury. Przystroiwszy rogi polnymi kwiatami, chadzał po polach, wywijając ogonem, pogwizdując wesoło, po prostu ciesząc się życiem.

DIABEŁ ISKRZYCKI Niezwykle inteligentny i przedsiębiorczy diabeł, służący często u ludzi jako ekonom. Z racji niezwykle szpetnego wyglądu nigdy nikomu się nie pokazywał, a swoje rady kierował do „klientów" z ukrycia. Tym, którzy korzystali z jego usług, pozostawał wierny do śmierci (nie własnej oczywiście). W zamian za zrzeczenie się duszy, zapewniał bogactwo i dobrobyt.

DIABEŁ ROKITA było to ponure, nieokrzesane i wielkie diablisko chłopskiej proweniencji. Najczęściej spotkać go można było na bagnach i moczarach, gdzie czasem napadał podróżnych lub mącił im rozum i ściągał na bezdroża. Nie miał Rokita głowy do wyrafinowanych sztuczek i forteli, słynął za to z potwornej siły i niewybrednego, nawet jak na piekielne standardy, języka.

DOBROCHOCZY

to leśny demon zamieszkujący niegdyś niedostępne puszcze i bory Podlasia. Choć do ludzi odnosił się raczej nieufnie, uważano go za sprawiedliwego sędziego. Nigdy nie skrzywdził niewinnego człowieka, a czasem nawet pomagał w miarę potrzeby. Za to dla napotkanych złoczyńców bywał dobrochoczy bezlitosny i bezwzględny, karząc ich bolesną śmiercią. No chyba że ci akurat przebłagali go odpowiednimi darami, na przykład kromką chleba i szczyptą soli. Nie podważało to autorytetu, jaki dobrochoczy miał wśród gminu; jak widać pojęcie sprawiedliwości było wówczas bardzo pojemne i już przed wiekami znalazło się w nim miejsce na łapówki. Wzrostem dobrochoczy zawsze dopasowywał się do drzew, obok których przechodził, co sugeruje, że mógł osiągać nawet trzydzieści metrów wysokości (tyle bowiem mają najwyższe sosny i świerki rosnące w polskich lasach).

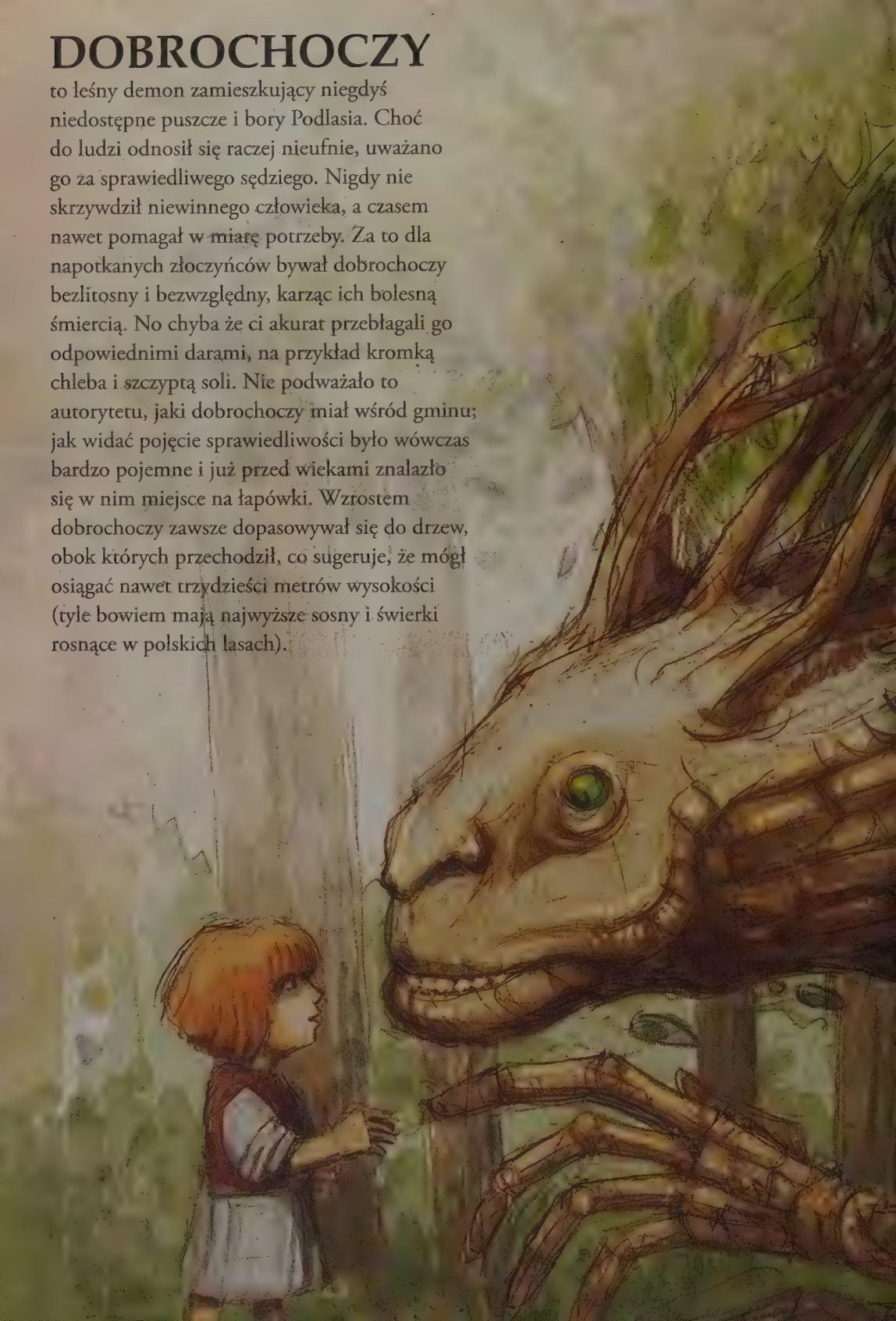

DOLA inaczej doda, dodola, była duchem opiekuńczym, który towarzyszył człowiekowi przez całe życie (a niekiedy nawet bywał dziedziczony przez jego dzieci). Dola zajmowała się potomstwem swojego właściciela, doglądała jego dobytku i zapewniała ogólnie pojęty dobrobyt. Sam zainteresowany musiał tylko zachowywać się tak, by jej nie rozgniewać. Należało więc wstawać ochoczo do pracy dwie godziny przed świtem, całymi dniami harować jak wół, nie narzekać, mocno zaciskać pasa, a dola sprowadzała szczęście i bogactwo. Tak przynajmniej głosiła teoria.

Co jednak, jeśli dola nie zadziałała? Co, jeśli po kilkudziesięciu przepracowanych w pocie czoła latach człowiek dorobił się tylko odcisków, przepukliny i zwyrodnienia kręgosłupa? Otóż mogło się okazać, że od początku był skazany na porażkę. Bowiem są różne rodzaje doli: jeśli na przykład kupcowi przypadła w udziale dola chłopska, to choćby stawał na głowie i klaskał uszami, żaden interes nie szedł mu jak należy. I *vice versa*: włościaninowi z dolą handlowca zawsze coś w gospodarstwie szło nie tak – gęsi topiły się w kałuży, baba nie chciała ciągnąć pługa, a kartofle rosły bulwami do góry. Co gorsza, nawet mając dolę dopasowaną pod względem profesji, można było trafić na leniwy bądź niezaradny egzemplarz. Taki duch, zamiast przynosić szczęście, był całe życie źródłem wszelkich klęsk i niepowodzeń. „Nigdy nie wiemy, jaki kołek dola na nas struże" – mawiali nasi przodkowie, siedząc nad dzbanem jęczmiennego piwa, wiedzieli bowiem doskonale, jak niewiele w życiu zależy od nas samych.

DOMOWIK W dawnych czasach wierzono, że duchy zmarłych członków rodziny nie zawsze odchodzą w zaświaty. Czasem miały zostawać w gospodarstwie, by pomagać żywym. Najważniejszym z szeregu takich opiekuńczych duchów był domowik. Miał on postać małego, czerstwego, obrośniętego gęstym siwym włosem dziadka, który chodził po gospodarstwie w wytartym i zniszczonym odzieniu. Mieszkał w chałupie za piecem i tam właśnie należało mu co wieczór wystawić w ofierze odrobinę strawy. W zamian za to domowik opiekował się chałupą, strzegł jej przed złem i zapewniał dobrobyt, a pomagała mu w tym jego żona – domowicha. Domowik rzadko wyściubiał nos poza próg domu. Pomocą w obejściu i w pracach polowych służyły ludziom inne duchy, wszystkie one pozostawały jednak pod rozkazami domowika.

DUCHY I ZJAWY to dusze ludzi zmarłych w niezwykłych okolicznościach. Z różnych względów nie mogą one trafić w zaświaty i pod postacią bladych, półprzezroczystych widm błąkają się w pobliżu miejsca swojej śmierci, mimowolnie strasząc przypadkowych obserwatorów. Często pojawiają się regularnie w jednym miejscu o tej samej godzinie. Zazwyczaj nie bywają agresywne wobec ludzi, ale i od tej reguły zdarzają się wyjątki. A oto kilka przykładów duchów, które, jak twierdzą naoczni świadkowie, dziś jeszcze spotkać można w różnych miejscach Rzeczypospolitej.

DUCH BIAŁEJ DAMY Z KÓRNIKA to Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka, zmarła w XVIII wieku pani kórnickiego zamku i miasta. Doprowadziła ona do rozkwitu gospodarczego swoich włości, między innymi dzięki sprowadzeniu protestanckich kolonistów z Niemiec. Zapewne to właśnie, obok niemoralnego prowadzenia się i dziwnego zamiłowania do zagranicznych ksiąg, stało się powodem, dla którego pani Teofila musi po śmierci pokutować na tym świecie. Podobno co noc, dokładnie o godzinie dwunastej, wiszący w zamku portret arystokratki ożywa i biała dama rusza doglądać swojego majątku.

Zbudowany w średniowieczu zamek w Kórniku swój piękny, neogotycki kształt (jaki możemy podziwiać do dziś) uzyskał w pierwszej połowie XIX wieku dzięki ówczesnemu właścicielowi – hrabiemu Tytusowi Działyńskiemu. Jemu też miasto zawdzięcza nieortograficzną pisownię swojej nazwy. Hrabia zmienił znajdujący się w pruskim zaborze Kurnik na Kórnik, by podkreślić polskość nazwy i zapobiec jej zniemczeniu.

DUCH CZARNEGO PSA Z OGRODZIEŃCA

Olbrzymi czarny ogar o wielkiej, zębatej paszczy i płonących ślepiach przemierza nocą okolice gotyckiego zamku w Ogrodzieńcu. To duch kasztelana krakowskiego, Stanisława Warszyckiego, pokutujący za bestialskie okrucieństwo wobec poddanych.

DUCH RYCERZA W PŁOMIENIACH W miasteczku Łagów nieopodal Zielonej Góry znajduje się gotycki zamek, w którym niegdyś rezydowali joannici. W burzliwe letnie noce pojawia się tam rycerz w czarnej jak smoła zbroi otoczonej wieńcem płomieni. To duch zmarłego w XVI wieku komandora łagiewskiego zgromadzenia – Andrzeja von Schliebena. Nie wiadomo, czym ów nieszczęśnik zasłużył sobie na wieczne męki. Niewiele w ogóle wiemy na temat jego życia. Jedyną pewną informacją jest to, iż von Schlieben jako pierwszy zakonnik zgromadzenia joannitów wstąpił w związek małżeński. Czyżby więc sprawdziło się stare powiedzenie, że „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle"?

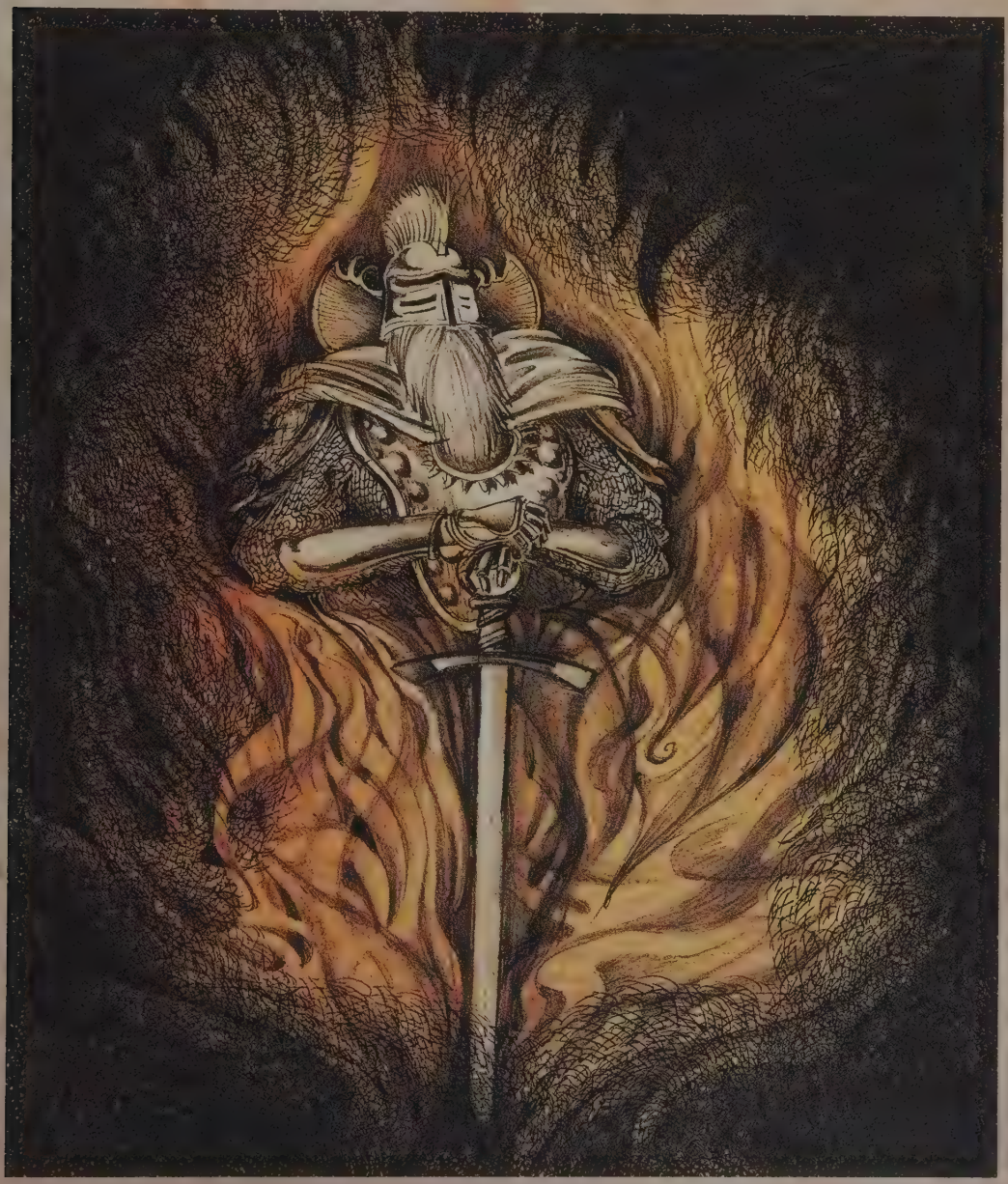

DWOROWY to pomocny duch występujący pod postacią małego, ubranego w wytartą sukmanę dziadka, zamieszkujący dawniej każde szanujące się gospodarstwo. Dyskretnie doglądał bydła, pomagał w pracach polowych i chronił obejście przed nieproszonymi gośćmi. W zamian żądał drobnych podarków: kawałka chleba, kłębka wełny do wyściełania sobie leża czy jakiejś błyskotki.

Zdarzało się czasem, zwłaszcza w dużych gospodarstwach i folwarkach, że dworowy nie radził sobie sam i brał pomocników. Następowała wtedy daleko posunięta specjalizacja pracy. Osobna istota odpowiedzialna była za stajnie i obory, osobna za stodoły, spichrze, kurniki itd.

Chlewnik, jak nietrudno się domyślić, odpowiedzialny był za doglądanie trzody chlewnej. W ciągu roku nie miał za dużo pracy, bowiem dawniej świnie zapędzano do chlewików tylko na zimę. Resztę roku zwierzęta spędzały, pasąc się dziko w lasach i puszczach. Ale też świnie z czasów naszych przodków były twardymi i wytrzymałymi zwierzętami, zupełnie niepodobnymi do swych tłustych, różowych potomków. Zbite w gromadkę stado wieprzków z powodzeniem radziło sobie niegdyś z atakiem watahy wilków! Przy zajmowaniu się takimi półdzikimi świniakami głównym zadaniem chlewnika było chronienie trzody przed chorobami i pasożytami. Zarażone osobniki leczył jedynym znanym wtedy sposobem, czyli zamawianiem. Działanie to polegało na omiataniu chorego zwierzęcia miotełką z ziół i wypowiadaniu odpowiednich zaklęć. Nie wiadomo, czy taka kuracja stawiała zwierzę na nogi, ale z pewnością łaskotanie i szeptanie do ucha poprawiało mu humor. A jak wiadomo, szczęśliwa świnia – to smaczna wędlina.

DZIADY to duchy zmarłych przodków, które przybywały na ziemię kilka razy do roku, by odwiedzić swoich antenatów. Z okazji tych spotkań urządzano dziadom uczty, zastawiając obficie stoły jadłem i napitkiem. Takie obrzędy miały zazwyczaj charakter kameralny, ale czasami aranżowano je w większym gronie. Zbierano się wówczas w kaplicach i opuszczonych chałupach położonych niedaleko cmentarzy. Spotkania były absolutnie tajne (stały przecież w sprzeczności z nauką Kościoła). Przewodniczył im koźlarz, owczarz czy guślarz, bowiem przedstawicieli tych profesji z dawien dawna uważano za niekwestionowanych ekspertów w sprawach magii. W czasie „uczty kozła" (tak nazywano omawiane obrzędy) wzywanym duchom składano ofiary z pożywienia, palono im ogień, by się ogrzały, i wypowiadano przeróżne zaklęcia, mające zapewnić im spokój w zaświatach.

Współczesną pamiątką po pogańskich ofiarach na cześć zmarłych przodków jest między innymi palenie świeczek na grobach bliskich.

GUŚLARZ
Czyscowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowym wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy, i płacze rzewnie;
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie, i napitek.

CHÓR
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Adam Mickiewicz, *Dziady*, część II

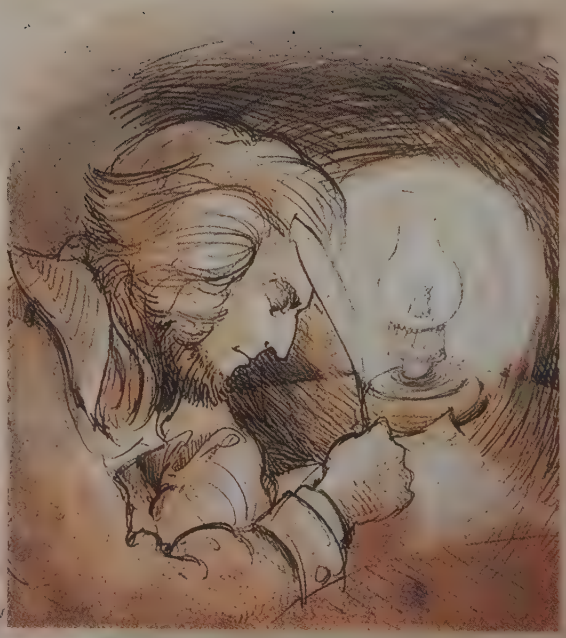

DZICY LUDZIE było to mało znane leśne plemię człekokształtnych stworów. W czasach, gdy pradawna puszcza pokrywała większą część naszego kraju, te niskie, pokraczne i bujnie owłosione istoty zamieszkiwały w najdzikszych i najmniej dostępnych jej częściach. Dlatego też niewielu ludzi spotkało je na swojej drodze – i całe szczęście, bowiem po tych, którzy w poszukiwaniu grzybów, jagód czy pszczelich barci zapuścili się w okolice zamieszkałe przez dzikich ludzi, zostawała zazwyczaj tylko kupka obgryzionych do czysta kości.

DZIEWIĄTKA to tajemniczy, niepozorny i wyjątkowo niebezpieczny owad zamieszkujący pastwiska i podmokłe łąki. Miał ciało długości kciuka dorosłego mężczyzny i takiej grubości. Składało się ono z dziewięciu segmentów, zaś każdy z nich opatrzony był plamką. Głowa dziewiątki zakończona była parą szczypiec, którymi owad kąsał swoją ofiarę. Jak większość zwierząt, atakował ludzi tylko wtedy, gdy czuł się zagrożony, czyli na przykład podczas sianokosów. Ukąszenie nie było dla człowieka szczególnie bolesne, a na skórze pozostawał tylko czarny pęcherzyk. Jednak po pewnym czasie ciało zaatakowanego przez dziewiątkę nieszczęśnika zaczynało puchnąć i pojawiały się kłopoty z oddychaniem. Był to ostatni moment, by udać się do specjalisty i „zamówić" ukąszenie. Zamawianiem zajmowali się guślarze, owczarze, znachorzy i wszelkiego autoramentu wędrowne dziady. Znali oni tajemne zaklęcia neutralizujące jad dziewiątki i choć nie byli tanimi specjalistami, to pacjent wiedział, że bez ich usług po tygodniu umrze straszną i bolesną śmiercią. Tak przynajmniej twierdzili zamawiacze, a nikt z ukąszonych nie miał na tyle odwagi, by odrzucić ich usługi i na własnej skórze przekonać się, czy to prawda.

DZIKI MYŚLIWY to pokutująca dusza, która pod postacią konnego łowcy przemierzała nocą puszcze i lasy ze sforą widmowych psów. Jeśli w trakcie tego polowania duch napotkał jakiegoś nieszczęśnika, potrafił go ciężko poturbować, a nawet zabić. Dlatego wychodzenie po zmroku do boru, zwłaszcza w bezksiężycową, wietrzną noc, uważano za przejaw niebywałej odwagi lub skrajnej głupoty.

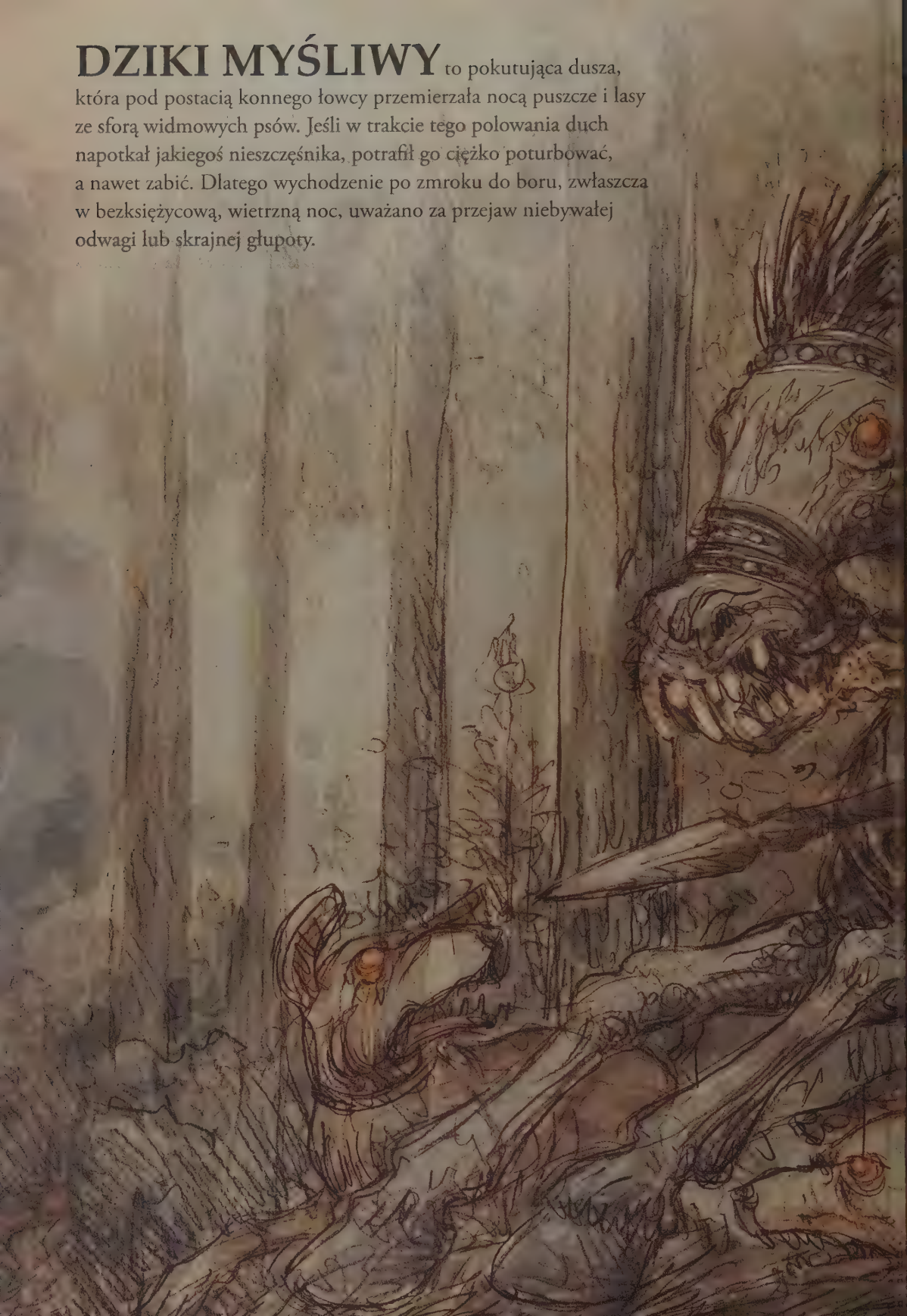

DZIWOŻONY to górskie istoty zamieszkujące w jaskiniach i skalnych osypiskach Podhala. Ich nazwa pochodzi od staropolskiego przymiotnika *dziwoki* – czyli „dziki". Bo też nie grzeszyły dziwożony ani urodą, ani łagodnością charakteru. Te przysadziste, kosmate stworzenia o brzydkich twarzach i wielkich, czy raczej długich piersiach gnębiły niewierne żony, porywały dzieci i młode dziewczęta, a ludzi starszych potrafiły załaskotać na śmierć.

Głównym pożywieniem dziwożon były kłącza ziela zwanego słodyczką, czyli znanej w całej Polsce paprotki zwyczajnej. Kiedyś miała ona zastosowanie jako lek na gruźlicę, dziś kłączy paprotki używa się w ziołolecznictwie jako środka wykrztuśnego.

FAJERMAN to dusza błąkająca się po świecie pod postacią płonącego, bezgłowego ciała, pokutująca w ten sposób za praktykowane za życia bezsensowne okrucieństwo wobec zwierząt. Nasi przodkowie nie darzyli psów ani kotów szczególnym poważaniem, ale zabicie któregoś z tych zwierząt uważali za czyn szczególnie karygodny. Człowiek parający się tym zawodowo był powszechnie pogardzany i nienawidzony, a nazwa jego profesji – rakarz – stała się jedną z najpospolitszych i najcięższych zarazem obelg staropolskich.

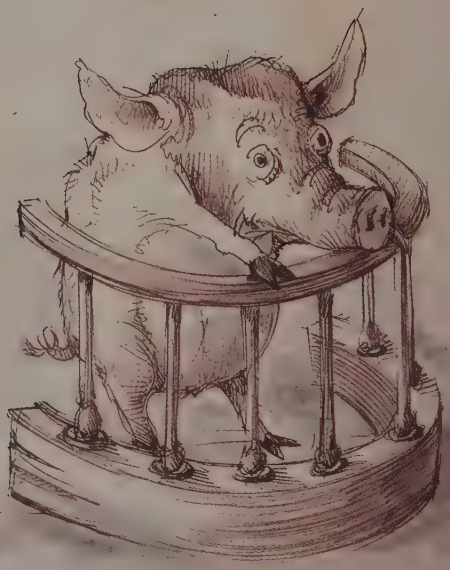

W dawnych czasach ludzie traktowali zwierzęta tak poważnie, że potrafili powoływać je na świadków w sprawach karnych lub nawet sadzać na ławie oskarżonych. Pokazowe procesy czworonogów zaczęły się w średniowieczu, a swoje apogeum osiągnęły w XVII wieku. Najczęstszymi oskarżonymi w sprawach o okaleczenia lub morderstwa były... świnie.

GNIECIUCH lub gniotek, zwany na Podhalu hurbózem, był małym, podobnym do kota stworkiem o cienkich jak patyki kończynach i wielkim, ciężkim brzuszysku. Żył w chałupach obok ludzi, a ze swej kryjówki, mieszczącej się najczęściej w komorze, wychodził tylko w nocy. Przyciągała go woń strawionego alkoholu: jeśli wyczuł ją w oddechu śpiącej osoby, siadał na brzuchu lub piersiach ofiary i delektował

się zapachem. Uciskał przy tym człowieka tak skutecznie, że niejeden opój i wydmikufel budził się nazajutrz po przepiciu obolały, wyczerpany i kompletnie niezdolny do pracy.

Aby uchronić się przed gnieciuchem, należało wziąć do ręki kawałek święconej kredy i obrysować wokół łóżka okrąg. Niestety, po kilku kieliszkach żytniej przepalanki nawet tak proste zadanie stawało się herkulesową pracą, niewykonalną dla zwykłego, zmęczonego życiem włościanina. Dlatego też gnieciuchy zawsze miały i nadal mają się dobrze.

GRYF to występujący głównie na Pomorzu potwór o ciele lwa i głowie, skrzydłach oraz przednich łapach orła. Wił sobie gniazdo w najdzikszych i najbardziej niedostępnych miejscach. Stamtąd nawiedzał czasem ludzkie siedziby, by porwać krowę lub owcę. Na swoje ofiary napadał znienacka, pikując jak drapieżny ptak. Wobec ludzi bywał gryf agresywny tylko wtedy, gdy doszedł do wniosku, że coś z ich strony grozi jego pisklętom. Gryfy zgubiło prawdopodobnie zamiłowanie do świecidełek: widząc jakiś błyszczący przedmiot, natychmiast porywały go i zanosiły do gniazda. W ich legowiskach znaleźć można było czasami prawdziwe skarby, zawsze więc znajdowali się ludzie, którzy mimo grożących niebezpieczeństw gotowi byli odnaleźć i splądrować gryfie gniazdo, najczęściej zabijając przy tym właściciela. Dziś gryfy odnaleźć można już tylko w herbach miast i możnych rodów Pomorza.

W średniowieczu wierzono, że konie są największym przysmakiem gryfów i panicznie się ich boją. Rycerze umieszczali na swoich tarczach wizerunek gryfa, by straszyć wierzchowce przeciwników.

GUMIENNIK to demon zamieszkujący stodoły i opiekujący się składowanym tam niewymłóconym zbożem. Odpowiednio traktowany, bywał bardzo użyteczny: pilnował zbiorów przed ogniem, przepędzał złodziei i zabijał szkodniki. Biada jednak, jeśli jakiś gospodarz nie okazał mu należytego szacunku. Rozzłoszczony gumiennik potrafił zniszczyć całe plony, a nawet spalić stodołę. Zdenerwować go było łatwo, zwłaszcza kiedy występował pod postacią czarnego kota i niczym nie odróżniał się od zwykłego przedstawiciela tego gatunku. Wystarczyło wtedy najniewinniejsze działanie, jak ucięcie zwierzęciu końcówki ogona (co dawniej często praktykowano w celu usunięcia rzekomego zbiorniczka z jadem, który miał się tam u kota mieścić). Zraniony gumiennik wpadał w szał i następowała katastrofa.

Wspólną nazwę „gumno" nosiły kiedyś: podwórze gospodarcze wraz z zabudowaniami oraz ta część stodoły, w której składowano zboże.

HOMEN W dawnych czasach, gdy w danym mieście pojawiała się zaraza, ludzie w panice uciekali całymi rodzinami na pustkowia, gdzie, jak wierzyli, nie będą mieli kontaktu z chorobą. Jak płonne były to nadzieje, przekonać się mogli ci, którzy spotkali homen: orszak zjaw podążający krok w krok za zarazą przemierzającą kraj na czarnym wozie. Upiorny korowód duchów zabitych przez dżumę nieszczęśników przesuwał się, śpiewając i tańcząc. Tam, gdzie przeszedł, umierali ludzie i zwierzęta, jedzenie gniło, a przedmioty martwe psuły się i rozsypywały w pył.

JAROSZEK był polnym demonem wyglądem bardzo przypominającym zająca. Napotkawszy samotnego wędrowca, stwór udawał rannego, czym z powodzeniem zachęcał go do pościgu. Następnie, niezgrabnie kuśtykając, demon wabił człowieka na bagna, gdzie nieszczęśnik najczęściej ginął bez śladu. Jeśli jednak komuś pomimo niebezpieczeństw udało się schwytać jaroszka i przynieść go do chałupy, istota wyzbywała się negatywnych cech i zostawała opiekunem domu. W zamian za codzienną porcję mleka jaroszek pilnował dzieci, wyłapywał myszy i prusaki, strzegł obejścia przed intruzami.

JĘDZA to demon, który pod postacią wysokiej, chudej i pomarszczonej baby o czarnych oczach, bezzębnych ustach i kobylej nodze występował w lasach całej Słowiańszczyzny. W swym ruchomym domku na kurzej stopie przemierzała puszcze w poszukiwaniu ofiar – głównie bezbronnych dzieci. Wyjątkowo odpychający wygląd nie przeszkadzał jędzy w przywabianiu do siebie zagubionej w borze dziatwy; nie używała w tym celu żadnej specjalnej magii, lecz dużo skuteczniejszego wabika: słodyczy. Znęcone wizją nieograniczonego dostępu do łakoci szkraby łatwo dawały się uwięzić. W niewoli, karmione migdałami, bakaliami i rodzynkami, szybko przybierały na wadze, po czym kończyły jako przysmak na stole ohydnego demona. Wbrew pewnym utartym wyobrażeniom jędza nie miała zbyt wiele wspólnego z pospolitą czarownicą. Przede wszystkim nie była człowiekiem, lecz istotą demoniczną o sobie przynależnych cechach.

Najbardziej znaną jędzą była Baba-Jaga. Na Rusi wierzono, że mieszka w domku na kurzej stopie, a szukając swych ofiar, lata w wielkim moździerzu lub masielnicy.

JULKI Dobroduszne karzełki żyjące w jamach wydrążonych w kurhanach. Pozostawały w dyskretnej przyjaźni z mieszkańcami okolicznych wiosek. Chłopi nie zakłócali julkom spokoju, omijając zamieszkane przez nie pagórki z daleka. W zamian, w czasach klęski głodu, stworki dzieliły się z ludźmi zgromadzonymi zapasami żywności. O tym, jak ważna była to pomoc, niech świadczą opisy zachowań ludzi, którzy na takową nie mogli liczyć.

„Roku Pańskiego 1715 był głód wielki na ludność i drogość, że ludzie rzęsę leskową, główki lniane i sieczkę z słomy, szusząc mełli, także makuch tłukli, a jedli krew bydlęcą, kwaśnicę i trawsko różne. Dlaczego ludzie byli chudzi, nędzni, szpetni, słabi, chorzy i wiele ich dla głodu lada gdzie zumierało".
Andrzej Komaniecki, *Chronografia albo Dziejopis Żywiecki*

KANIA widząc zostawione bez opieki dziatki, zjawiała się we wsi, zlatując z nieba na białym obłoku. Jako że miała postać niezwykle pięknej kobiety, dzieci ufały jej. Myśląc zapewne, iż to jakaś niebiańska istota, chętnie ulegały namowom i wchodziły na chmurę, na której kania przybyła na ziemię. Gdy to zrobiły, demon ulatywał, uprowadzając nieszczęsne małe ofiary w nieznane. Dlatego włościanie wymyślili swej dziatwie ku przestrodze powiedzenie: „Dzieci, dzieci, kania leci!".

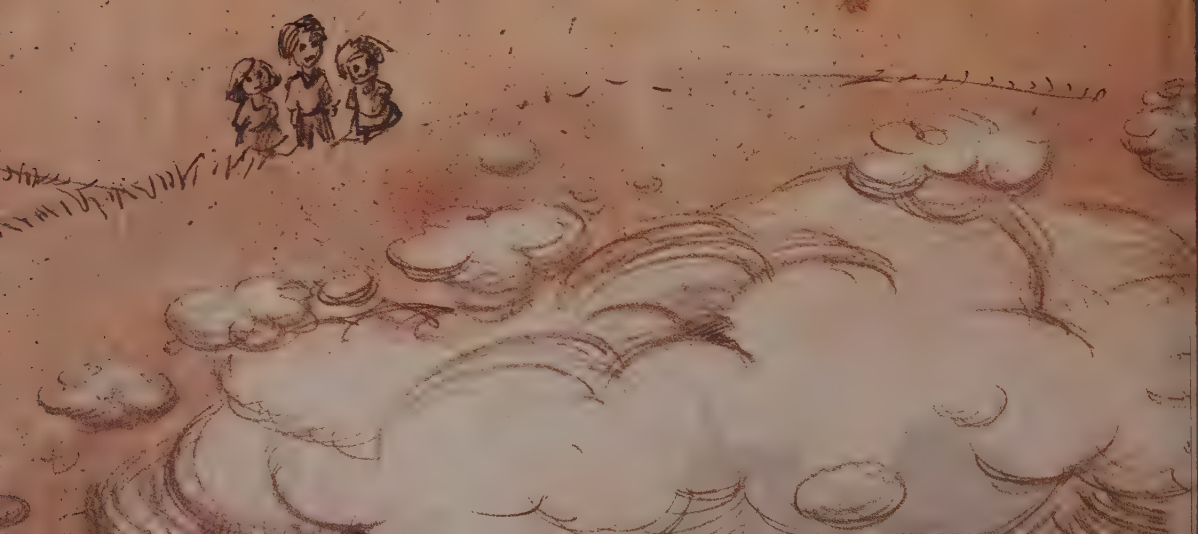

KLABATERNIK zamieszkiwał duże, ładowne okręty pływające w dalekomorskie rejsy. Był duchem opiekuńczym, strzegł statku przed roztrzaskaniem o podwodne skały czy wypłynięciem na mieliznę, wyprowadzał go z najstraszniejszych sztormów, wskazując drogę swoją latarnią. Pilnował też klabaternik, by żaden z członków załogi nie łamał starych praw morskich. Dla gnuśnych, tchórzliwych i występnych marynarzy potrafił być naprawdę złośliwy: podkładał im nogę, psuł wykonaną pracę, podjadał racje żywnościowe albo po prostu bił kułakiem po twarzy.

Wszystko to jednak były błahostki i ojcowskie upomnienia w porównaniu z restrykcjami zalecanymi przez kodeks morski. Ten zbiór praw regulujący życie na okrętach pojawił się w Polsce w formie pisanej za panowania Zygmunta Augusta. Przewidywał on między innymi za pijaństwo czy zaniedbanie służby bicie rózgami połączone z polewaniem ran słoną wodą, a za bluźnierstwo – przepalenie delikwentowi dziury w języku gorącym żelazem. Wprowadzenie kobiety lekkich obyczajów na pokład kończyło się dla winnego ciężką chłostą, zaś dla niewiasty – wyrzuceniem za burtę. Surowe to były i nieludzkie sankcje, dlatego marynarze nie gniewali się na klabaternika za drobne „upomnienia", które często chronify ich od znacznie gorszych konsekwencji.

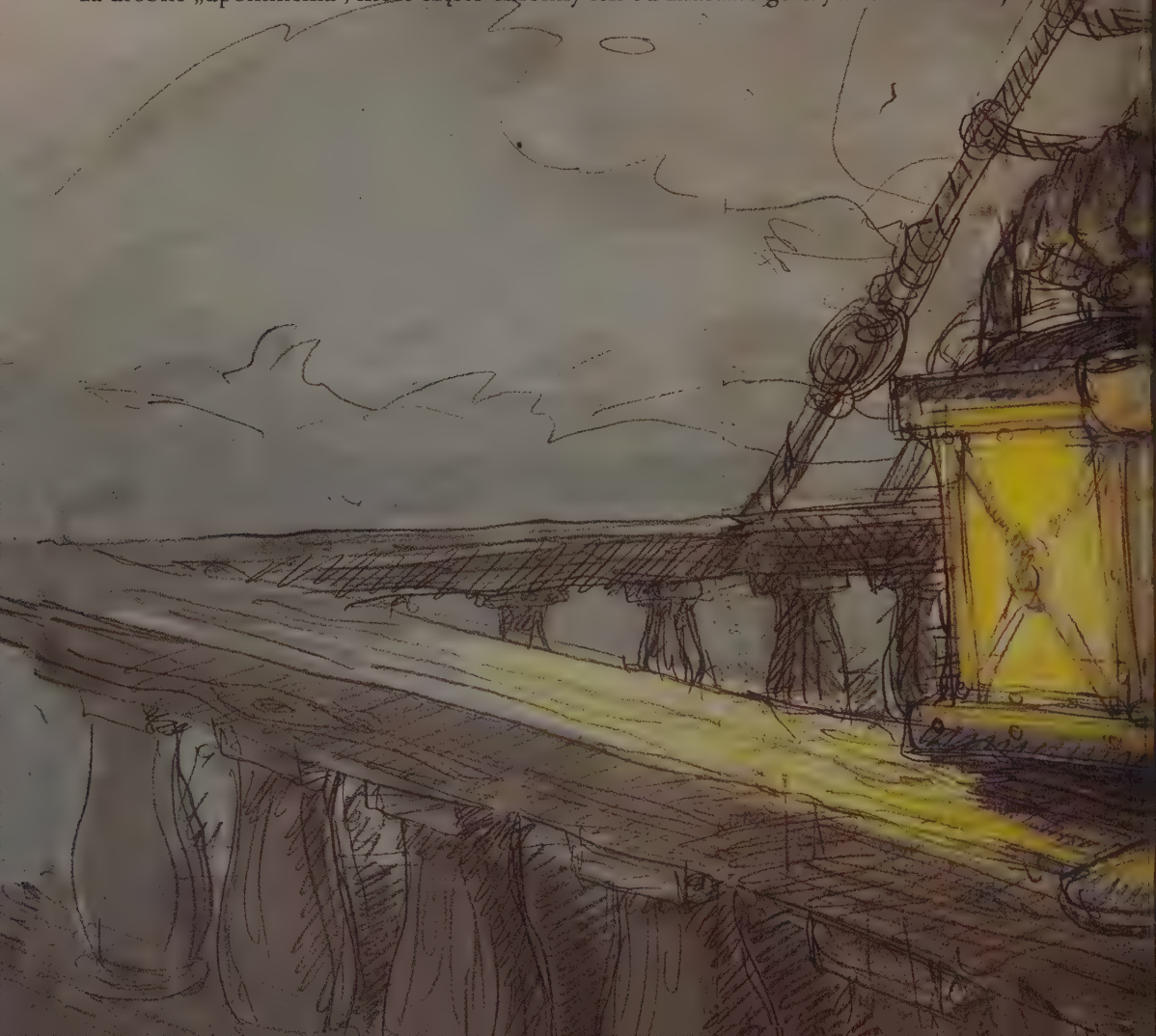

KŁOBUK to zły duch niższego rzędu. Zamieszkiwał tereny leśne, jednak od czasu do czasu, najczęściej podczas zimnej, jesiennej ulewy, podchodził pod ludzkie domostwa. Przybierał wtedy postać czarnego, podobnego do kurczaka ptaszyska, przysiadał na płocie i czekał, aż któryś z wieśniaków zlituje się i zabierze go do swojej chaty. Kiedy kłobuk zadomowił się już w ciepłej izbie, zaczynał znosić swoim gospodarzom różne dobra, które kradł innym mieszkańcom wsi. W zamian za to należało mu zapewnić miejsce do spania – starą, wymoszczoną puchem beczkę ustawioną na strychu tuż przy kominie – oraz wikt – codzienną porcję jajecznicy na maśle. Czasem gospodarze, czy to kierowani wyrzutami sumienia, czy po prostu nabrawszy wystarczająco dużo kradzionego towaru, decydowali się wygonić kłopotliwego pomocnika. Kłobuk bywał wtedy agresywny, ale zazwyczaj bez większych problemów znikał, ulatując kominem. Niestety, wszystko, co zdążył do tego momentu naznosić swoim dobrodziejom, zamieniało się w smrodliwe łajno…

Czarny kogut był w całej Europie symbolem sił zła. Pogański zwyczaj składania nieszczęsnego ptaka w ofierze wszelakim złym duchom przetrwał do chrześcijańskich czasów. Każdego roku zabobonny ludek oddawał pierzastą obiatę utopcom, wodnikom, morowym dziewicom i wszelkim innym demonom, które miał nadzieję przebłagać. Przy czym na ofiarę wybierano zawsze stare sztuki drobiu, wierzono bowiem, że siedmioletni czarny kogut mógł się zmienić w bazyliszka! Stąd zresztą popularne niegdyś powiedzenie „Nie bierz za żonę dziewki po trzydziestu latach, bo ona to samo warta co kogut po siedmiu".

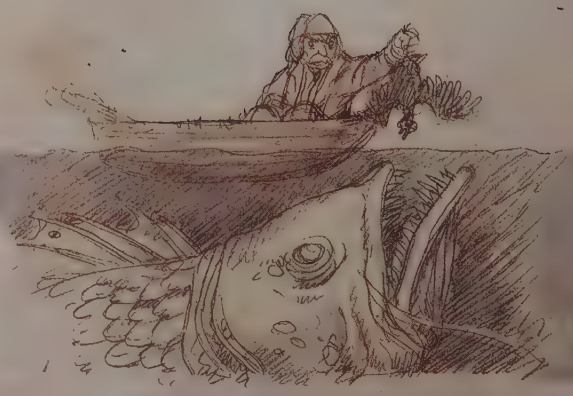

KOCMOŁUCH był niedużym, pokracznym stworkiem mieszkającym pod progiem stajni lub obory. Tam przesypiał cały dzień, a na żer wychodził nocą. Podpełzał wtedy bezszelestnie pod krowie wymię i doił je, aż brzuch napełniony mlekiem robił mu się okrągły jak balon. Rano gospodynie nie znajdowały żadnych widocznych śladów kocmołucha, ale o jego wizycie świadczył znacznie zmniejszony udój. Była to strata tym dotkliwsza, że dawniejsze rasy krów dawały niewiele mleka. Dlatego też kocmołuchy były gorliwie tępione i przepędzane wszelkimi możliwymi sposobami.

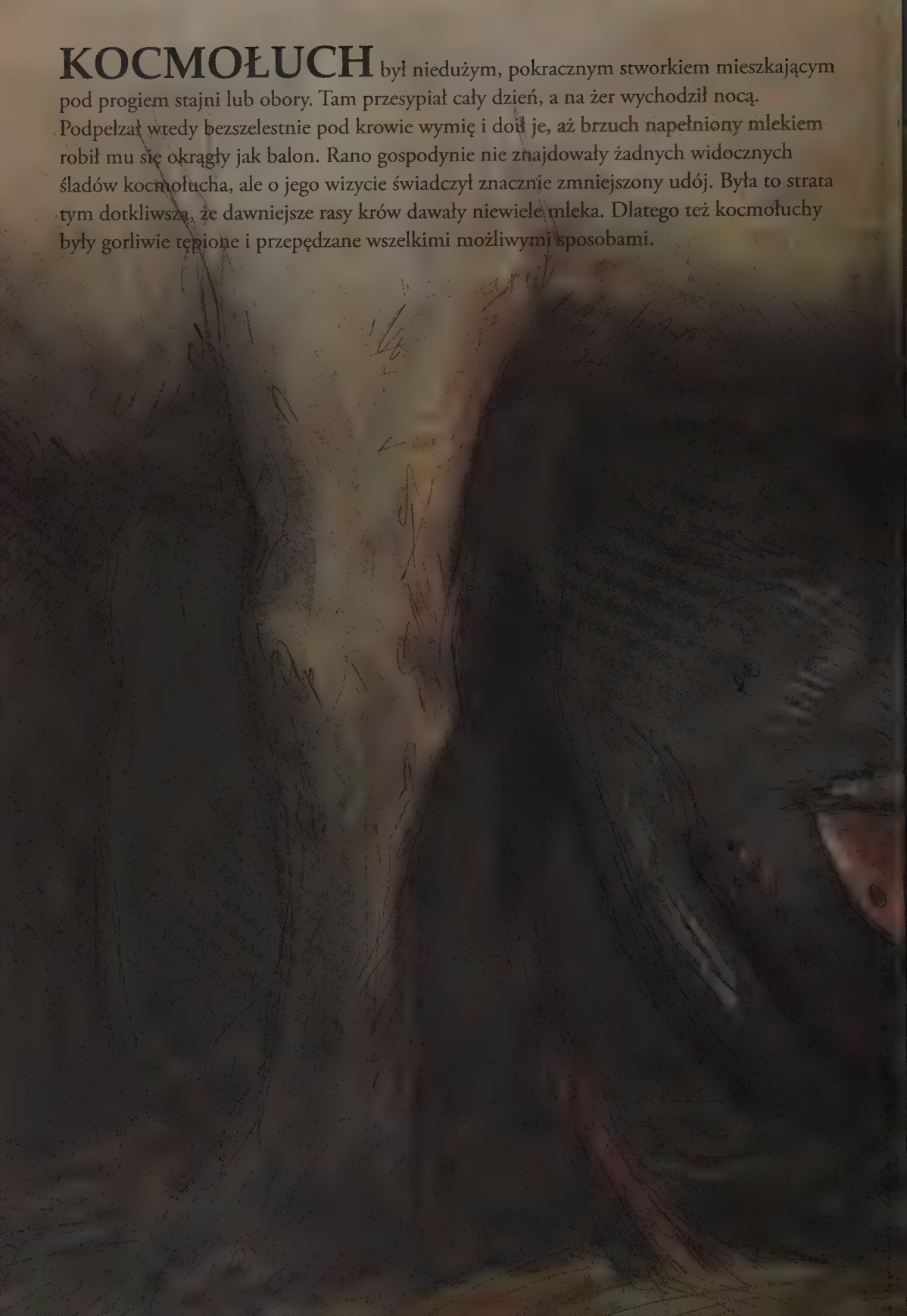

KRASNOLUDKI zwane też skrzatami, to jedne z najbardziej znanych i rozpowszechnionych domowych istot opiekuńczych. Te małe sympatyczne ludki poznać można było po noszonych przez nie czerwonych kubrakach i takiegoż koloru czapkach. Od koloru garderoby wzięły zresztą krasnoludki swą nazwę – „krasny" znaczyło kiedyś „czerwony". Czapka była dla każdego krasnoludka rzeczą niezwykle cenną, czyniła go bowiem niewidzialnym. Jeśli jakiemuś człowiekowi udało się ją zerwać z głowy karzełka, ten gotów był wykupić swoje nakrycie głowy za każde pieniądze. Krasnoludki mieszkały pod ziemią, gdzie miały własne wioski i miasta. Do ludzkich chałup dostawały się przez szpary w podłodze, mysie dziury i szczeliny w ścianach. Przychodziły nocą, kiedy wszyscy domownicy już spali. Krzątały się po całym gospodarstwie, wykonując różne prace domowe: sprzątały, cerowały, przędły, zamiatały podwórze, a najchętniej zajmowały się końmi. W zamian za to dobrzy ludzie (a do innych krasnoludki nie przychodziły) zostawiali im w zakamarkach chałupy odrobinę jadła i napitku.

KRÓL WĘŻÓW był olbrzymim gadzim władcą, zawsze otoczonym chmarą mniejszych współplemieńców. Mieszkał pod korzeniem leszczyny, na której rosła jemioła (co w naszym, polskim klimacie jest właściwie niespotykane). Poza nienaturalnie wielkim rozmiarem król wężów odznaczał się także srebrzystą, mieniącą się wieloma kolorami łuską i diamentowym bądź złotym grzebieniem na głowie. Taką ozdoba wyrastała każdemu wężowi po dziesięciu latach życia, dlatego królestwo gadów mogło mieć teoretycznie wielu władców. Niemniej ich liczbę skutecznie regulowała ludzka chciwość: człowiek, który napotkał króla wężów, zabijał go dla złotej „korony", ale także dla magicznych właściwości, jakie miało gadzie ciało. Można je było upiec i zjeść, by do końca życia rozumieć mowę zwierząt, można było ugotować w oliwie i uzyskać krem odmładzający albo powiesić truchło na drzewie i zebrać do słoika to, co z niego wycieknie, aby uzyskać niezawodną maść na porost wąsów. Podobno właśnie ta ostatnia właściwość króla wężów najbardziej przyczyniła się do wytępienia tego majestatycznego gada.

Najdłuższym polskim wężem jest wąż Eskulapa, którego długość może przekraczać dwa metry.

LATAWIEC był powietrznym demonem powstałym z człowieka zmarłego gwałtowną i przedwczesną śmiercią. Pojawiał się najczęściej wraz z nadejściem wichury i burzy: uciekał przed uderzeniami piorunów, które zawsze kierowały się w jego stronę. Leciał wtedy tuż nad ziemią, wydając co jakiś czas przeraźliwy, przeciągły krzyk. Prędzej czy później latawiec ginął trafiony błyskawicą (dawniej uważano, że zabija ona zarówno ciało, jak i duszę, dlatego była tak niebezpieczna dla demonów). Czasem jednak wyjątkowo sprytny, szybki i złośliwy demon potrafił przed śmiercią narobić wiele szkód. Wiedząc, że piorun zawsze zmierza w jego stronę, stwór nakierowywał go na kościelne wieże, przydrożne kapliczki, a najczęściej na zwykłe chłopskie chaty. Działanie to było dosyć perfidne, gdyż mieszkańcy wsi wierzyli, że pożaru wznieconego przez błyskawicę nie powinno się gasić. Był to bowiem według nich bezpośredni wyraz woli boskiej, a właściciel chałupy musiał sobie czymś na karę zasłużyć.

LICHO to mała, kudłata, złośliwa istota przemierzająca puszcze, pola i gościńce dawnej Słowiańszczyzny. Nigdzie nie potrafiło licho zagrzać na dłużej miejsca; zawsze było skore do psot i figli. Mąciło ludziom w głowach, wyprowadzając ich na bezdroża, tłukło i wywracało naczynia z jedzeniem, dosypywało popiołu do mąki, plątało koniom grzywy czy chowało różne domowe przedmioty w najmniej spodziewanych miejscach. Te drobne, zdawać by się mogło, psoty musiały być dla naszych przodków bardzo uciążliwe, skoro utrwalili oni postać licha jako złego ducha w tak wielu powiedzeniach: „Tam do licha!", „Niech to licho porwie!", „Licho wie", „Licho go nosi" i innych.

ŁAPIDUCH zamieszkiwał na pustkowiach z dala od ludzkich siedzib. Miał bulwiaste ciało i krótkie, chude kończyny zaopatrzone w długie, zakończone szponami palce. Polował na błąkające się po ziemi pokutujące dusze, które chwytał i bezlitośnie dręczył. Z czasem łapiduchami nazywać zaczęto przeróżnej maści medyków i sanitariuszy. Jednak w przeciwieństwie do swych ludzkich odpowiedników, prawdziwe łapiduchy były niebezpieczne tylko dla zjaw i duchów, nigdy zaś dla żywych ludzi.

MAJKI mawki czy newki to małe roztańczone stworzenia zamieszkujące puszcze i górskie jaskinie, zazwyczaj starannie unikające spotkań z ludźmi. O ich obecności na danym terenie świadczyły wydeptane na leśnych polanach kręgi – ślady po ich nocnych hulankach. Czasem jednak majki zbliżały się do wiejskich chałup, by spłatać jakiegoś niewinnego figla. Ich najbardziej rozpoznawalną i popisową psotą było urządzanie „kociej muzyki" tuż pod oknami dokazujących kochanków. W ten sposób majki potrafiły zniechęcić niejednego współmałżonka do ewentualnej zdrady.

Jak podają współcześni mu kronikarze, Wacław II, żyjący w XIII wieku król Czech i Polski, śmiertelnie bał się burzy i…miauczenia kotów.

MAMUNA boginka, czarcich, dekla, łamija, małpa, oćwiara, odmienica, pałuba, sibiela, zmianica – to tylko część z imion, pod jakimi znany był w Polsce demon porywający z kołysek dzieci i podrzucający w ich miejsce swoje własne młode. Nienawidzono i bano się tego stwora jak Rzeczpospolita długa i szeroka. Duży wzrost, nieproporcjonalnie wielkie łapy, świńskie kły i szczeciniaste futro porastające całe ciało nie poprawiały bynajmniej wizerunku mamuny wśród mieszkańców wsi.

Zamieszkiwała boginka lasy i niedostępne mateczniki, które opuszczała tylko na czas łowów. Podchodziła wtedy pod osady ludzkie i, korzystając z momentu nieuwagi, podmieniała w kolebce jakiegoś nieszczęsnego szkraba. Czasem zdarzało się, że upatrzywszy sobie ciężarną niewiastę, boginka gnębiła ją jeszcze długo przed porodem, a niekiedy, o zgrozo, podmieniała płód w łonie matki! Zasadniczo jednak interesowały ją nieochrzczone niemowlaki. Gotowa była nawet siłą wydzierać je z rąk matek, by porwać w głąb puszczy. Co się z takimi dziećmi dalej działo – nie wiadomo, w każdym razie prawie nigdy już nie wracały do domu. Jako formę rekompensaty boginka zawsze pozostawiała pokrzywdzonym rodzicom swoje dziecko. Był to jednak brzydki, chudy i nieustannie wrzeszczący bachor, nijak mający się do pulchnego aniołka, którego matka pozostawiła na chwilę bez opieki. Cóż, że podmieniec nie odziedziczał po mamusi kłów i futra, kiedy wyrastał na głupkowatego, złośliwego i ponurego człowieka. Dużo spał, często jadł i nie był zdatny do żadnej roboty.

W czasach, gdy zawód polityka jeszcze nie istniał, była to dla rodziców prawdziwa tragedia. Dlatego starali się oni wymóc na bogince zwrot swojego rodzonego potomka. W tym celu należało położyć odchowanego już podmieńca na kupie gnoju i bić święconą rózgą, aż boginka zlituje się nad swoim szczenięciem i weźmie je z powrotem, zwracając przedtem ludzkie dziecko. Co prawda mamuna zazwyczaj nie przychodziła, ale regularnie powtarzana operacja dawała zadziwiające rezultaty… Traktowany mokrą witką nastolatek odmieniał się wewnętrznie – przestawał się lenić i kraść, nabierał szacunku do starszych, łapał się każdej roboty i z czasem wyrastał na wartościowego człowieka. Nie na darmo bowiem mówi *Księga Przysłów*: „Nie kocha syna, kto rózgi żałuje, a kto kocha go – w porę go karci" (Prz 22:15 BT).

MARUDA zwana też płaczką, była demoniczną istotą, której ulubioną rozrywkę stanowiło męczenie dzieci. Zwłaszcza te najmniejsze, leżące jeszcze w powijakach niemowlaki potrafiła błyskawicznie doprowadzić do płaczu. Nic wtedy nie dawały żadne wkładane zwyczajowo do kołyski zabawki – obcięte zajęcze uszy czy krecie łapy. Niewidzialna dla dorosłych maruda często drażniła, szczypała i straszyła biednego oseska przez całą noc tak, że nad ranem wszyscy domownicy byli na skraju wyczerpania fizycznego i psychicznego. Nic dziwnego, iż chwytano się najróżniejszych sposobów, by marudę odstraszyć. Kładziono na przykład w pokoju, gdzie spało niemowlę, miskę z wodą, a w niej kłębek nici, łyżkę i wrzeciono (zajęty tymi akcesoriami demon zostawiał w spokoju dziecko). Innym skutecznym sposobem miało być obsadzenie kołyski dziewięcioma szmacianymi lalkami lub wypowiedzenie specjalnego zaklęcia. Mimo stosowania przez ludzi tych i wielu, wielu innych sposobów, maruda nie dała się wytępić i nadal uprawiała swój niecny proceder. Co więcej, wydaje się, że robi to nawet w naszych czasach, o czym zaświadczyć może wielu świeżo upieczonych rodziców.

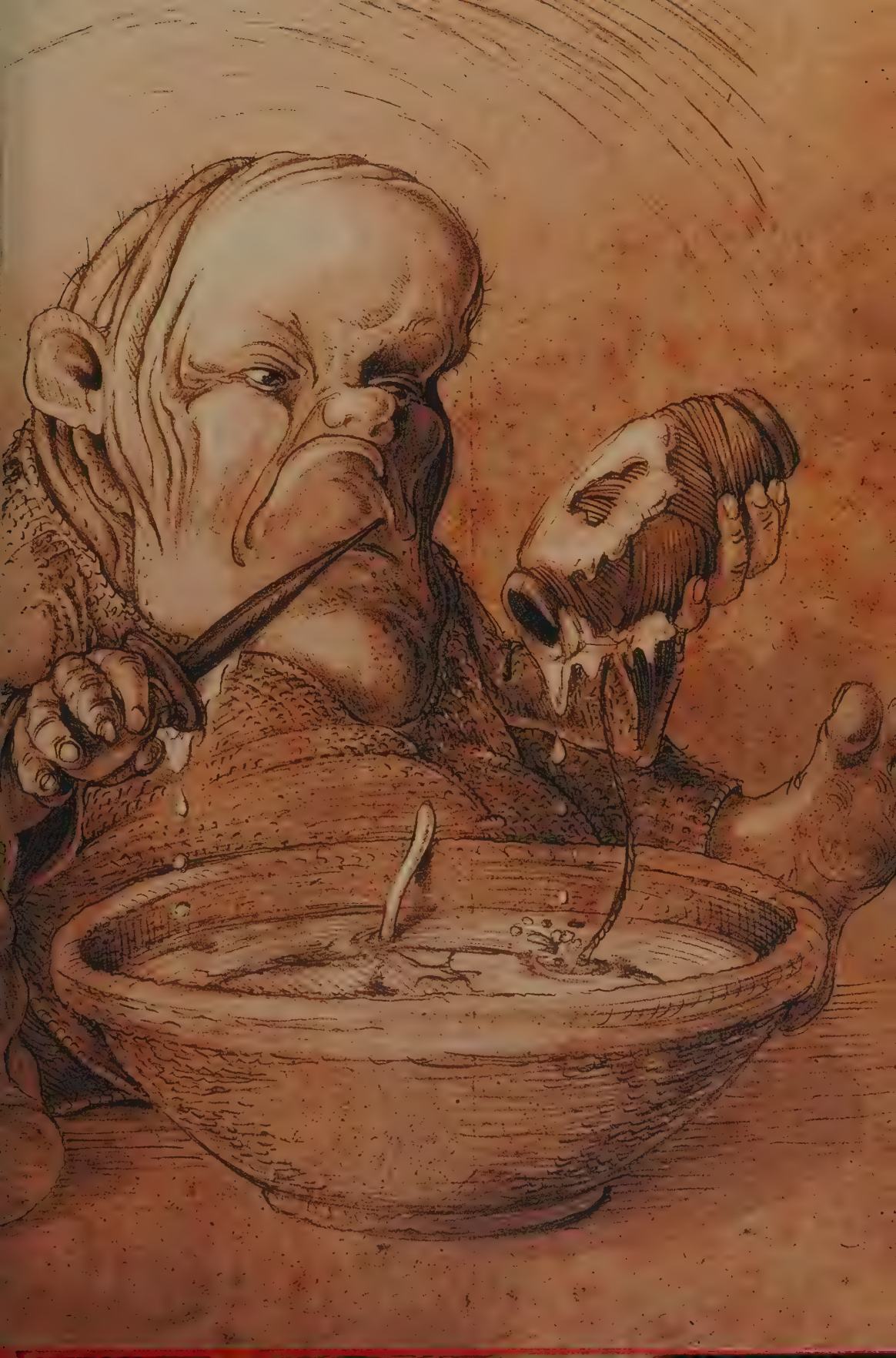

MATOHA zwany też bobo, bubakiem, matolicą czy po prostu kościejem, to demon z czasów przedchrześcijańskich, o którym niewiele informacji przetrwało do naszych czasów. Podobno sprawował nadzór nad ludźmi parającymi się magią, w tym nad czarownicami. Towarzyszył ich zlotom na Łysej Górze, gdzie pojawiał się pod postacią kudłatego kozła. Pilnował, by wiedźmy nie użyły czarów przeciwko dobrym ludziom, a łamiące ten zakaz kobiety karał okrutnie…

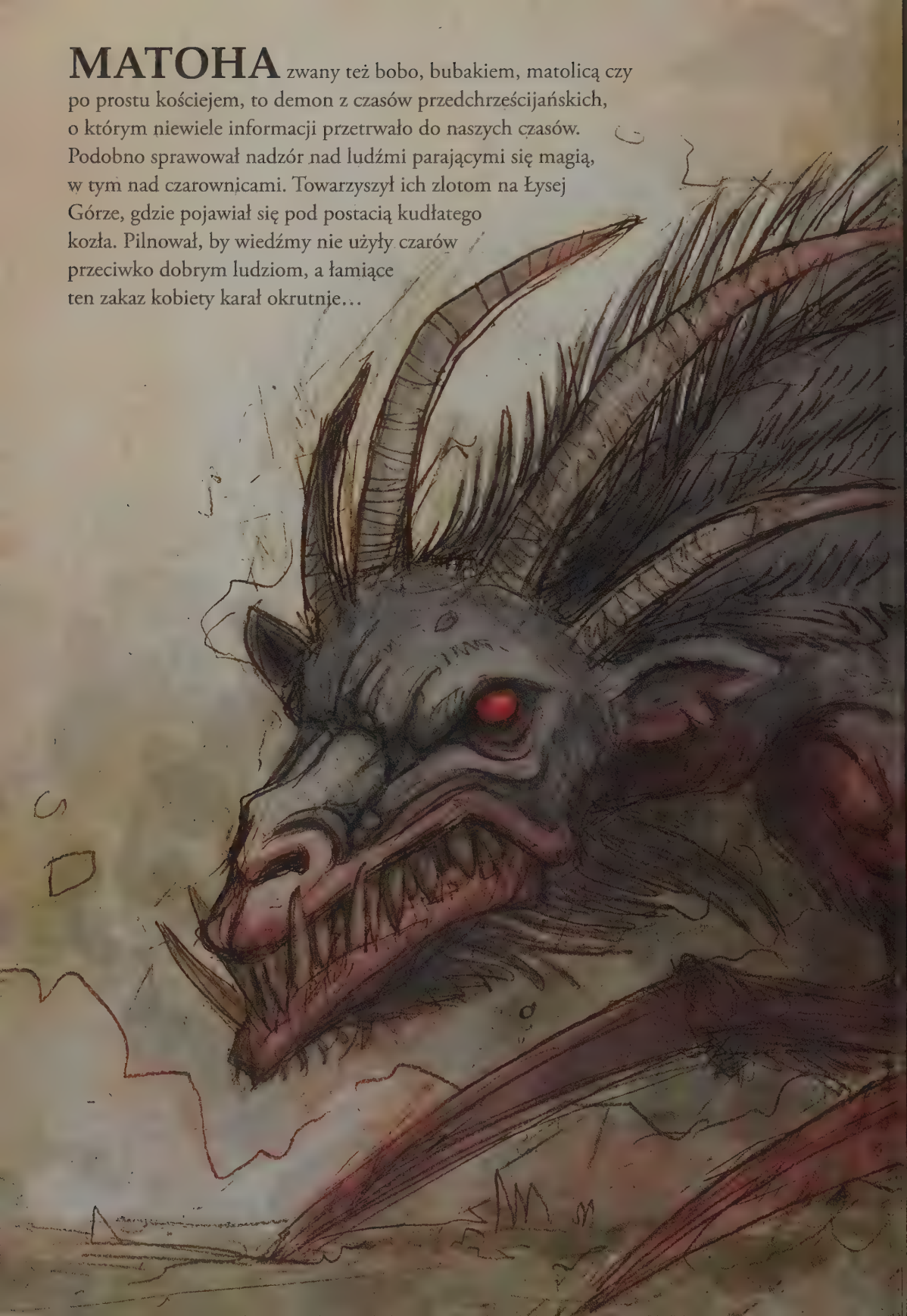

MIERNIKI były duchami geometrów, którzy za życia fałszowali pomiary pól, krzywdząc nieświadomych chłopów na rzecz bogatych panów. Po śmierci dusze urzędników musiały za karę błąkać się po ziemi; pod postacią mierników przemierzały pola i łąki, powtarzając w nieskończoność niesprawiedliwe pomiary. Poznać je można było z daleka po bladoniebieskim świetle, którym sobie przyświecały w tych wędrówkach. Mierniki nie bywały zazwyczaj agresywne wobec ludzi, a czasem wręcz im pomagały, na przykład przyświecając tym, którzy w ciemnościach coś upuścili. Można je było wezwać gwizdaniem; należało tylko pamiętać o tym, by za pomoc miernikowi grzecznie podziękować. Jeśli zaś demon zjawił się z kamieniem granicznym w rękach i pytał, co z nim zrobić, trzeba było odpowiedzieć: „Połóż go tam, skąd żeś go wziął". Te słowa kończyły bowiem jego pokutę i wybawiały duszę nieszczęsnego geometry od dalszych mąk.

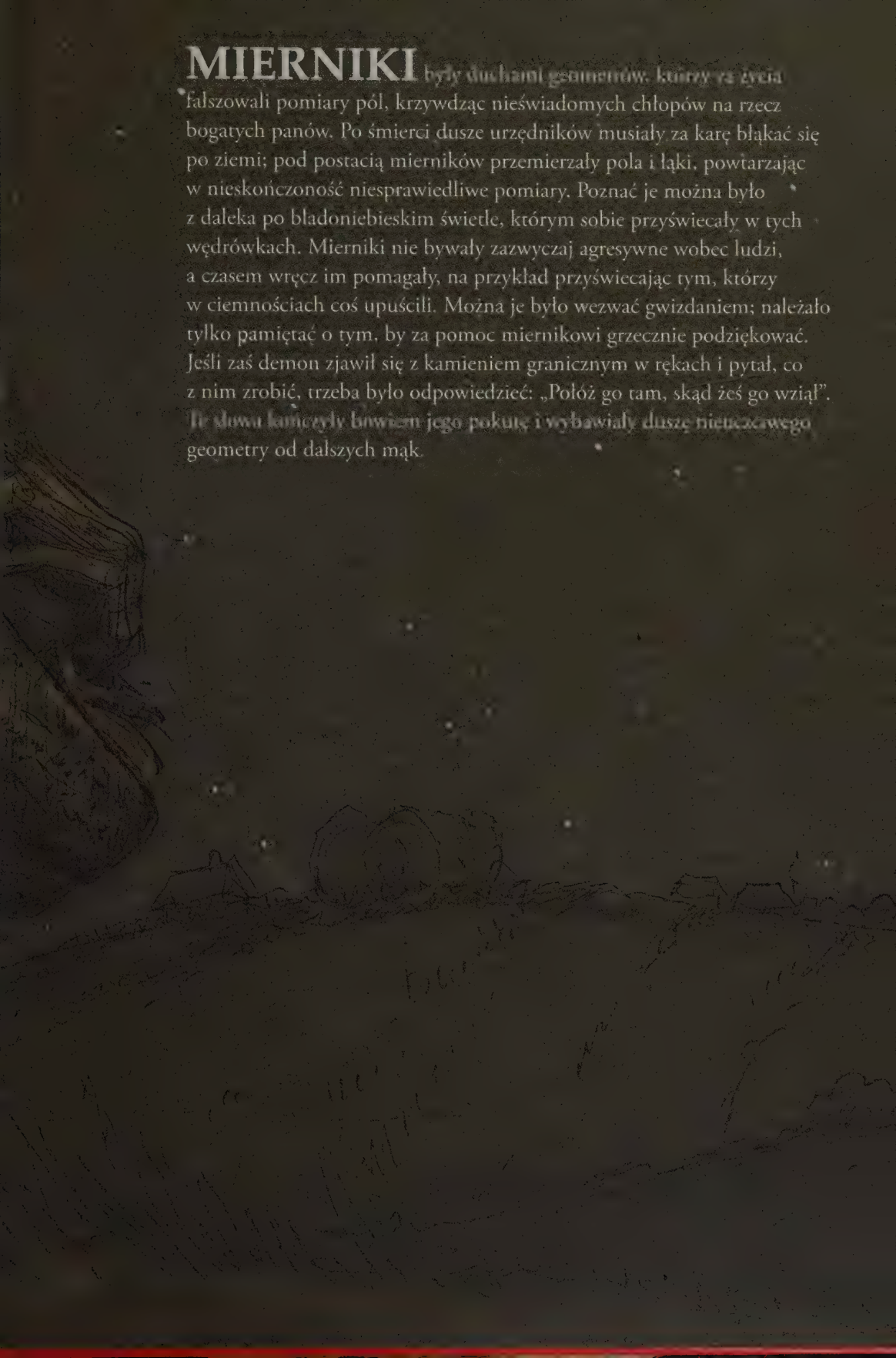

MLEKOWY ŻMIJ był wielkim, żyjącym pod ziemią wężem, który żywił się głównie mlekiem. Aby zdobyć swój przysmak, pod nieobecność gospodarzy ostrożnie wciskał się do chałupy przez otwór komina. Poza wypiciem całego udoju potrafił jeszcze mlekowy żmij porządnie napsocić, tłukąc naczynia, przewracając kosze z jedzeniem i kradnąc z kuchni drobne przedmioty.

W dawnych, pogańskich czasach wierzono, że węże przynoszą szczęście. Często hodowano je w chatach. Widok niemowlaka bawiącego się z gadem nie był niczym nadzwyczajnym.

MOROWA DZIEWICA to demoniczna postać będąca personifikacją „powietrza", czyli zarazy. Przemierzała świat pod postacią bardzo chudej, chorobliwie bladej niewiasty okrytej białą płachtą. Napotkawszy na drodze samotnego wędrowca, często wskakiwała nieszczęśnikowi na kark i kazała się obnosić po wsiach i miastach. Tam gdzie przeszła, machając okrwawioną chustką, ludzie masowo chorowali i umierali w straszliwych męczarniach. Domy i ulice zapełniały się ciałami, których nie miał kto grzebać. Pojawienie się morowej dziewicy wywoływało monstrualny strach, nieporównywalny do niczego innego. Ludzie uciekali w panice z miast i wsi do lasu, byle jak najdalej od zarazy. Część mieszkańców, wykorzystując sytuację, przystępowała do grabieży i podpaleń. Chorzy, oszalali z bólu i rozpaczy, rzucali się na zdrowych, by ich pociągnąć za sobą do grobu. Zanikały więzy rodzinne i społeczne, a ludzie odchodzili od zmysłów. Nieliczni tylko zachowywali godność, starając się dostosować do sytuacji. Nic więc dziwnego, że w modlitwach błagalnych prośba o oddalenie zarazy umieszczona została na pierwszym miejscu („Od powietrza, głodu, ognia i wojny – wybaw nas, Panie!").

Aby ochronić się przed morową dziewicą, ludzie chwytali się różnych metod. Często mieszkańcy zagrożonych terenów zaznaczali wokół wioski magiczną granicę, np. orząc ziemię zaprzęgiem ciągniętym przez parę bliźniaczych wołów, a kierowanym przez bliźniaków. Czasem jednak w strachu posuwano się do okrutnych praktyk magicznych: na przykład w 1831 roku mieszkańcy wsi Lubiszczyce na Polesiu, by uchronić się przed zarazą, zakopali żywcem kobietę razem z kogutem i wroną.

Zarazą określano dawniej wiele różnych chorób zakaźnych, ale najgorszą i budzącą największą grozę była niewątpliwie dżuma, zwana też czarną śmiercią. Przywędrowała do Włoch drogą morską około 1346 roku. Przez następne trzy lata rozprzestrzeniła się na całą Europę, zabijając jedną trzecią jej mieszkańców, czyli około 25 milionów ludzi. W późniejszych wiekach dżuma wracała jeszcze wiele razy, jednak nigdy już w tak ogromnym rozmiarze.

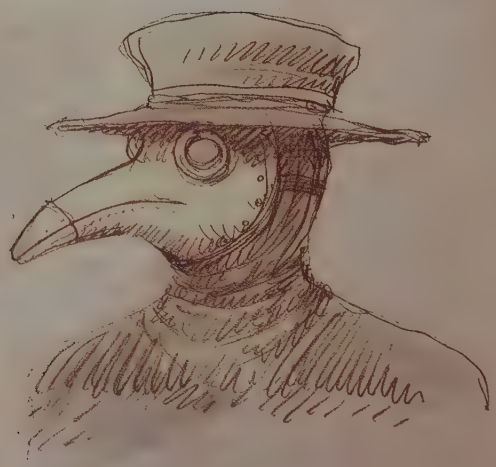

Oto jak wyglądał strój medyka udzielającego pomocy chorym w czasie zarazy. Dziób ptasiej maski był wypełniony wonnymi olejkami, które miały chronić przed zarażeniem i tłumić fetor rozkładających się zwłok.

MRÓZ to demon wędrujący po świecie pod postacią krępego, siwego dziadka z długą białą brodą. Ubrany był w przepasany sznurem biały kożuch, a podpierał się sękatym kosturem. Jego pojawienie zwiastowało nadejście siarczystych, zimowych mrozów. Na wschodnich terenach Polski, gdzie niskie temperatury były zawsze o wiele bardziej uciążliwe niż w innych rejonach kraju, mroza zapraszano czasami na wigilijną wieczerzę, by w ten sposób nieco go obłaskawić.

MRUCEK to nieduży domowy stworek, który szczególnie upodobał sobie najcieplejsze i najprzytulniejsze miejsce w wiejskiej chacie: zapiecek. Potrafił wylegiwać się tam całymi dniami, straszac najmłodszych domowników głośnymi pomrukami.

NOCNICE to złośliwe demony rodzaju żeńskiego, uaktywniające się, jak sama nazwa wskazuje, po zapadnięciu zmroku. Wychodziły wtedy z leśnych kryjówek, siadały na gałęziach i czesały szyszkami swoje długie, skołtunione włosy. Czasem wzbijały się w powietrze i szybowały na swych błoniastych skrzydłach w poszukiwaniu ofiar. Lista niecnych uczynków, jakich się dopuszczały wobec ludzi, była długa i zróżnicowana – jest na niej miejsce zarówno dla niewinnych psot, jak i dla ohydnych zbrodni. Wodziły więc nocnice pijaków na manowce i wpychały do błotnistych rowów albo obtańcowywały ich do utraty tchu, jednak potrafiły też zesłać na kobiety chorobę popołogową, zadeptać człowieka na śmierć lub udusić śpiące dziecko. Demony pojawiały się tylko wtedy, gdy słońce zachodziło krwawo, czyli jak mawiano dawniej: „na zażar". Stąd popularna kiedyś była magiczna formuła ochronna mająca odpędzić demony od dzieci: „Zaże, zaże, zatyczki – weźcie memu dziecku nocnicki" – czyli właśnie nocnice, nie zaś naczynia wiadomego przeznaczenia.

Nocnicą w języku staropolskim nazywano ćmę. W Polsce żyje ponad 3 tysiące gatunków nocnych motyli, z czego największy – zmierzchnica trupia główka – osiąga prawie trzynaście centymetrów rozpiętości skrzydeł.

OGNISTY KOŃ to znany na Śląsku demon, galopujący po polach i zagonach pod postacią wielkiego, buchającego płomieniami rumaka. Powstawał z duszy szlachcica – grzesznika, który wbrew przynależnym swemu stanowi zasadom, w sposób podły i małostkowy oszukiwał biednych chłopów: co roku zagarniał z ich nędznych poletek jedną–dwie skiby, powiększając w ten niegodziwy sposób swój użytek. Po śmierci taki obłudnik, zanim trafił w zaświaty, musiał odbyć w swej demonicznej postaci długą i bolesną pokutę na ziemi.

Czasem konie same z siebie odznaczały się wyjątkowo ognistym temperamentem. Taki narowisty rumak nie nadawał się zbytnio do pracy w polu czy do ciągnięcia furmanki. Mógł za to być przydatny w medycynie ludowej (dziś nazwalibyśmy ją alternatywną), przy leczeniu u ludzi... artretyzmu. Kuracja była bardzo prosta – należało przez trzy dni nie wypuszczać konia ze stajni i nie czyścić, następnie wyprowadzić go na drogę i „zaciąć" batem. Ognisty rumak rzuci się oczywiście do galopu wyrzucając w powietrze grudki nawozu spod brudnych kopyt. W tym momencie chory człowiek winien rzucić się biegiem za uciekającym zwierzęciem i łapać końskie łajno nim to spadnie na ziemię, gdyż tylko w ten sposób zachowywało ono lecznicze właściwości. Nawóz należało następnie regularnie wcierać w chore stawy i spokojnie czekać na poprawę.

PASKUDNIK był wyjątkowo szkaradnym i złośliwym stworem zamieszkującym stajnie, obory i wozownie. Nocami dusił bydło oraz konie, wysysał z nich krew, a także zarażał chorobami. Aby uchronić inwentarz przed paskudnikiem i przed działaniem innych złych istot, wieśniacy wieszali nad wejściem do pomieszczeń gospodarskich martwą srokę.

„W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.
Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwiesnę i szarą takąż, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.
Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.
– Oho, widzę, że świeże mięso jedli będzieta.
– A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po cielęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! – zawołała Józia.
Ambroży wyjął z kieszeni puszczadło, powecował je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granuli arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno czarna, spieniona.
Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.
– Za późno! Oho, bydlątko ostatnią parę puszcza – rzekł uroczyście Ambroży. – Nic to, ino paskudnik albo i co innego… trza było zaraz, kiej zachorzała… ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. – Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.
– Na ten pochowek dzwonił nie będę; zadzwonita w garki sami".
Władysław Stanisław Reymont, *Chłopi*

PIENIĘŻNY CHŁOPCZYK W dawnej Litwie wierzono, że pieniądze wędrują po świecie pod postacią różnokolorowych karzełków, przy czym kolor czerwony uosabiał złote dukaty, biały – srebrne marki i ruble, a brunatny – miedzianą drobnicę. Kiedy pieniężny chłopczyk zdybał kogoś na swojej drodze, prosił i nalegał, by napotkany człowiek uderzył go w twarz. Większość ludzi, widząc w tym podstępną diabelską prowokację, brała po prostu nogi za pas. Jeśli jednak ktoś przełamał w sobie strach i spełnił prośbę chłopca, natychmiast stawał się bogatym człowiekiem. Bowiem nawet lekko potrącony demon rozsypywał się w wielki stos ciężkich, błyszczących monet. Kiedy legenda o pieniężnych chłopczykach rozeszła się po kraju i nikt już nie bał się spełnić ich prośby, stali się oni wielką rzadkością, aż wreszcie zniknęli zupełnie. I tylko zwyczaj bicia bliźniego po twarzy dla zdobycia pieniędzy przetrwał w niektórych kręgach do naszych czasów…

Zanim na polskich ziemiach pojawiły się pieniądze, handel odbywał się albo na zasadzie wymiany towarów, albo przez płacidła. Płacidła to przedmioty, surowce lub zwierzęta służące jako środek płatniczy – na naszych, słowiańskich terenach były to bryłki soli, wiązki zwierzęcych skórek lub żelazne siekieropodobne grzywny. Za dwadzieścia takich grzywien można było w państwie Wiślan kupić na przykład jednego wołu. Pierwsze monety pojawiły się na polskich ziemiach w VIII wieku i były to przywiezione przez arabskich kupców dirhemy. Ale dopiero importowane z Niemiec od połowy X wieku denary wyparły powoli inne formy płatności. Handel wymienny odszedł do lamusa na następne tysiąc lat, by wrócić triumfalnie dopiero w czasach PRL-u.

PLONEK to dobrotliwy duszek domowy przypominający wyglądem czarnego kogutka. Zamieszkiwał w stodole; w ścianie szczytowej tego budynku zawsze zostawiano obluzowaną deskę, by stworek nie miał problemów z wejściem. Plonek był bardzo użyteczną istotą: swoim gospodarzom znosił całe stosy ziarna, dbał też o urodzaj na polach. Nic więc dziwnego, że troszczono się o niego należycie. Dokarmiano go codziennie, przy czym informacja o jego ulubionej potrawie była często ściśle strzeżoną tajemnicą przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Dobrze traktowany demon potrafił służyć dziesiątki lat w jednym gospodarstwie, zwłaszcza jeśli trafił na ludzi spokojnych i pracowitych, tych bowiem lubił najbardziej. Natomiast leniwych i gnuśnych gospodarzy nie znosił; zaczynał wtedy psocić (na przykład serwując śpiochom poranny kubeł zimnej wody na głowę), hałasować, niszczyć zbiory, aż któregoś dnia po prostu znikał.

Stodoły, czyli budynki służące do przechowywania zwiezionego z pola siana lub zboża, miewały różną wielkość i kształt (np. ośmioboczny!), liczbę pomieszczeń i ich i rozmieszczenie, konstrukcję ścian i wykorzystane materiały. Najpopularniejsza jednak była ta prostokątna, drewniana, kryta słomianą strzechą.

PŁANETNICY (od staropolskiego „płaneta" – chmura) to istoty, które zajmowały się napełnianiem chmur wodą lub gradem, przeciąganiem ich na znaczne czasem odległości i opróżnianiem nad danym obszarem. Czasami przed burzą widywano ich w obłokach: czarnoskórych, wysokich, potężnie umięśnionych mężczyzn ciągnących z olbrzymim wysiłkiem napięte liny obwiązane wokół chmur. Kobiet wśród płanetników nie było, być może dlatego, że praca ta wymagała olbrzymiej siły fizycznej (w końcu przeciętna chmura zawiera 10 tysięcy ton wody!) i była bardzo niebezpieczna (można było zginąć od uderzenia pioruna). A być może dlatego, że płanetnicy palili tytoń, zażywali tabakę i pili nieludzko mocną gorzałkę, czego niewiastom z pewnością robić by nie wypadało.

Bywało że powróz, na którym demon ciągnął chmurę burzową, zrywał się i płanetnik spadał na ziemię. Zachodził wtedy do wieśniaków, prosząc o mleko od czarnej krowy i jaja od czarnej kury. Posiliwszy się i naprawiwszy liny, unosił się do nieba, by dalej wykonywać swą ciężką pracę.

Płanetnicy przy wyborze miejsca ulewy bądź gradobicia kierowali się czasem osobistymi sympatiami i antypatiami. Jeśli jakiś gospodarz pomógł demonowi, na przykład ugaszczając go w czasie pobytu na ziemi, mógł liczyć na to, że jego pole zostanie oszczędzone. Zdarzało się nawet czasem, że płanetnicy bronili całej wsi przed atakiem swoich pobratymców.

Płanetników i chmury, które prowadzili, odpędzano biciem dzwonów. Szczególnie popularne były dzwonki loretańskie – odwołujące się do kultu maryjnego w miejscowości Loreto we Włoszech. Wykonujący dzwony spiżownicy mieli osobliwy zwyczaj: skończywszy pracę nad danym egzemplarzem, puszczali w świat zupełnie nieprawdopodobną plotkę, wierząc, że tak daleko, jak się ona rozejdzie, będzie niósł się też dźwięk dzwonu. Jedna z takich wyssanych z palca pogłosek mówiła, iż w sąsiednim miasteczku w czasie burzy z nieba spadł wieloryb i złamał sobie nogę (!). Teraz czołga się i pożera po drodze każdego, kogo napotka.

PŁONNIK był to człowiek, który poprzez konszachty z diabłem posiadł umiejętność magicznego wykradania sąsiadom zboża z niezżętych jeszcze kłosów. W oktawę Bożego Ciała przemierzał łany zbóż z sierpem w dłoni, wycinając wąską ścieżkę. Pola, które naznaczył w ten sposób, nie dawały plonów, gdyż kłosy były puste, natomiast płonnikowi skradzione ziarno sypało się do korców wprost z sufitu. Czasem „trzymający z diabłem" złodziej pojawiał się pod postacią pół psa, pół człowieka. Biegnącego przez pole nisko przy ziemi stwora nie dało się zauważyć, przez co jeszcze łatwiej było mu uprawiać swój proceder.

Aby ochronić się przed płonnikiem, należało powtykać w ziemię wokół pola poświęcone w kościele gałązki.

POŁUDNICA była wyjątkowo niebezpiecznym polnym demonem znanym naszym słowiańskim przodkom. Powstawała z kobiety, która zmarła tuż przed własnym ślubem lub chwilę po nim. Poza tym że południca była zwykle odziana w biały strój, niewiele łączyło ją z wizerunkiem przeciętnej panny młodej. Chuda, koścista sylwetka, pomarszczona śniada skóra, usta wypełnione wielkimi, ostrymi jak noże kłami, żółte, skołtunione włosy czy wreszcie długie łapy zakończone pazurami – wszystko to sprawiało, że demon budził wśród wieśniaków przerażenie. Mieszkała południca wśród kłosów dojrzałego zboża. Niewielu śmiałków odważało się wyjść w pole w samo południe, wtedy bowiem opuszczała swą kryjówkę i przemierzała pola w poszukiwaniu ofiar.
O jej obecności świadczyło delikatne falowanie kłosów. Człowiekowi napotkanemu przy pracy łamała kończyny, dusiła go, zsyłała paraliż i postrzał, a czasem widowiskowo urywała nieszczęśnikowi głowę. Zostawione bez opieki dzieci południca chowała do przepastnego wora i wynosiła do lasu, zabijała je od razu lub zakopywała żywcem pod miedzą.
Jej inwencja w szkodzeniu ludziom zdawała się być niewyczerpana, a okrucieństwo nie znało granic. Nic więc dziwnego, że kiedy wraz z zakończeniem żniw południca zakopywała się w ziemi i zapadała w sen zimowy, włościanie odczuwali niekłamaną ulgę i nieodpartą chęć do hucznego świętowania.

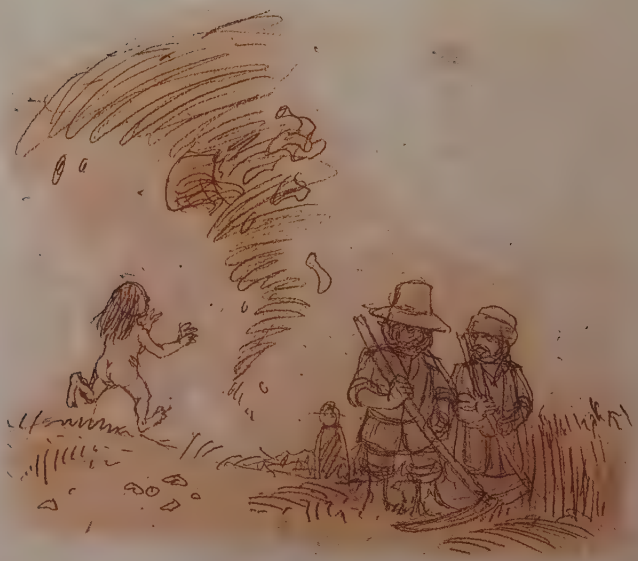

Czasami południca pojawiała się jako powietrzny wir. Jeśli pod tą postacią napotkała kąpiące się kobiety, mąciła im wodę i rozrzucała ubrania po okolicznych polach.

PORONIEC Ten skrzydlaty demon powstawał z martwego płodu, poronionego mimo woli bądź też spędzonego celowo. To małe, przypominające nieopierzonego pisklaka, zawistne stworzenie pojawiało się tylko nocą i atakowało wyłącznie ciężarne kobiety oraz położnice, wysysając z nich krew.

PRZYŁOŻNIK był demonem, który nocami nawiedzał bogobojne i cnotliwe białogłowy, by sprowadzać je na drogę grzechu. Przybierał przy tym niezwykle piękną i uwodzicielską postać. Kiedy kusiciel osiągał swój cel, znikał na zawsze, a nieszczęsna niewiasta nigdy już nie potrafiła o nim zapomnieć.

Niewiasta, która chciała uniknąć wizyty przyłożnika, okadzała się przed snem dymem z suszonego krowiego nawozu.

RODZANICE to trzy słowiańskie demony przeznaczenia, których nazwa pochodzi od słowiańskiego *rod*, co oznacza – „rodzic". Pojawiały się w chacie dokładnie o północy, trzy dni po narodzinach dziecka, by wyznaczyć jego przyszły los. Aby zapewnić niemowlakowi szczęście, należało właściwie przyjąć i ugościć demony. Wieczorem zastawiano więc stół suto jak do uczty, kładziono zastawę, a dziecko myto i odziewano w białe szatki. Następnie udawano się na spoczynek z nadzieją, że rodzanice będą łaskawe i potomka czeka bogate, syte, pozbawione niespodzianek, czyli po prostu dobre życie.

O rodzanicach pisał w swym *Katalogu magii* brat Rudolf – żyjący w XIII wieku francuski mnich z klasztoru cysterskiego w Rudach koło Raciborza – opisując bezbożne praktyki tubylczej ludności: „Składają ofiary owym trzem siostrom, które poganie nazywają Clotho, Lachesis i Atropos, aby im użyczały bogactwa".

RUSAŁKI to bardzo w dawnej Polsce popularne żeńskie demony, przybierające postać niezwykle urodziwych i zmysłowych dziewcząt. Można je było czasem spotkać w księżycową noc, gdy tańczyły nago na polanie lub nad brzegiem jeziora czy rzeki. Gibkie ciało, jasna skóra, czarne, błyszczące namiętnością oczy i długie, piękne włosy sprawiały, że niejeden młodzieniec tracił głowę z pożądania. Zwabiony przez piękne rusałki nieszczęśnik szedł za nimi w nadbrzeżne sitowie, gdzie ginął utopiony lub co gorsza załaskotany na śmierć. Rusałki obchodziły swoje święto w Zielone Świątki; nikt nie śmiał wtedy pracować, by ich nie rozgniewać. Bawiono się, tańczono, palono wielkie ogniska i puszczano wianki na wodę. Natomiast unikano wchodzenia do lasu, gdzie, jak wierzono, świętowały rusałki. Tej nocy każdy mężczyzna miał w kieszeni listek piołunu, który odstraszał demony.

Panny, które chciały mieć włosy długie, piękne i mocne jak rusałki, musiały się czasami naprawdę poświęcić. Do najbardziej skutecznych i sprawdzonych sposobów należało smarowanie włosów gotowanymi wnętrznościami żaby lub przetopionym szpikiem z nóg bydlęcych, a także jedzenie świńskich ogonów i niedźwiedziego sadła.

RYBI KRÓL był według pruskich legend demonem, który zamieszkiwał mazurskie jeziora, sprawując władzę nad wszelkimi żyjącymi w nich istotami. Przybierał postać olbrzymiej ryby (na przykład sielawy), potrafiącej wywracać rybackie łodzie i porywać ludzi pod wodę. Gdyby król ryb kiedyś zginął, wraz z nim umarliby wszyscy jego poddani.

Być może początek tej legendzie dała największa żyjącą w dawnej Rzeczypospolitej ryba – jesiotr, który mógł mierzyć nawet trzysta centymetrów długości i ważyć dwieście kilogramów. Nasze rzeki były w tę rybę tak zasobne, że w połowie XIX wieku większość kawioru na petersburskich stołach pochodziła właśnie z Polski. Jesiotry były bardzo silne. Mówiono, że kiedy schwytane machały „uzbrojonym" w kostne płytki ogonem i uderzały o rzeczne kamienie, krzesały snopy iskier.

SKARBNIK był podziemną istotą strzegącą skarbów ukrytych w jaskiniach i rozpadliskach. Zamieszkiwał też często w kopalniach. Ludzie kujący podziemne korytarze w poszukiwaniu rud metali czy pokładów węgla widywali go czasem, a niejednokrotnie słyszeli tylko jego głośny, upiorny śmiech. Pojawienie się skarbnika – niskiego, siwego dziadka z długą brodą i oczami świecącymi jak szmaragdy – zwiastowało nieszczęście. Ostrzeżeni światłem jego latarni górnicy uciekali, a chwilę potem następowało tąpnięcie, wybuch gazu lub inna katastrofa.

Z czasem, gdy górnictwo przybrało rozmiary przemysłowe, skarbnik, chcąc nie chcąc, zbliżył się do ludzi, zżył się z nimi i chyba polubił, przynajmniej tych pracowitych i koleżeńskich. Oni zawsze mogli liczyć na przychylność i pomoc ducha kopalni: wyświadczał im różne przysługi, poczynając od drobnych pouczeń ułatwiających pracę, a kończąc na bezzwrotnej zapomodze w postaci skrzyni złota. Natomiast leniwych, niesolidarnych i niechlujnych gwarków skarbnik łajał i straszył. Wiedział bowiem, że zachowanie takich czarnych owiec może sprowadzić niebezpieczeństwo na całą pracującą pod ziemią zmianę. Bywał więc surowy i bezwzględny w wymierzaniu kar, jednak ludzie rozumieli to i cenili jego poczucie sprawiedliwości tak bardzo, że kiedy zabrakło skarbnika, co sprytniejsi górnicy przebierali się za niego, by nastraszyć wyjątkowo odpornych na dobre rady obiboków.

SKUŁA była niewielkim robakiem żyjącym na podmokłych łąkach. Żywiła się korzeniami roślin, ale nadepnięta przez konia czy krowę wgryzała się w zwierzęce kopyto i powodowała okulawienie.

SMĘDY to małe futerkowe zwierzęta żyjące pod polną miedzą. Bardzo rozwinięty instynkt terytorialny sprawiał, że choć tolerowały gospodarza, to nie dopuszczały do obecności obcych ludzi na „swoim" polu. Pastuchów wypasających bydło na cudzej koniczynie czy wiejskie baby kradnące warzywa z zagonów sąsiada kąsały smędy dotkliwie po rękach i kostkach. Dlatego też gospodarze bardzo cenili sobie pomocne stworki. Traktowali miejsce ich schronienia – miedzę – z należytym szacunkiem, nigdy nie tykając jej łopatą ani pługiem, nawet kiedy granica między poszczególnymi spłachetkami pól przestawała być potrzebna.

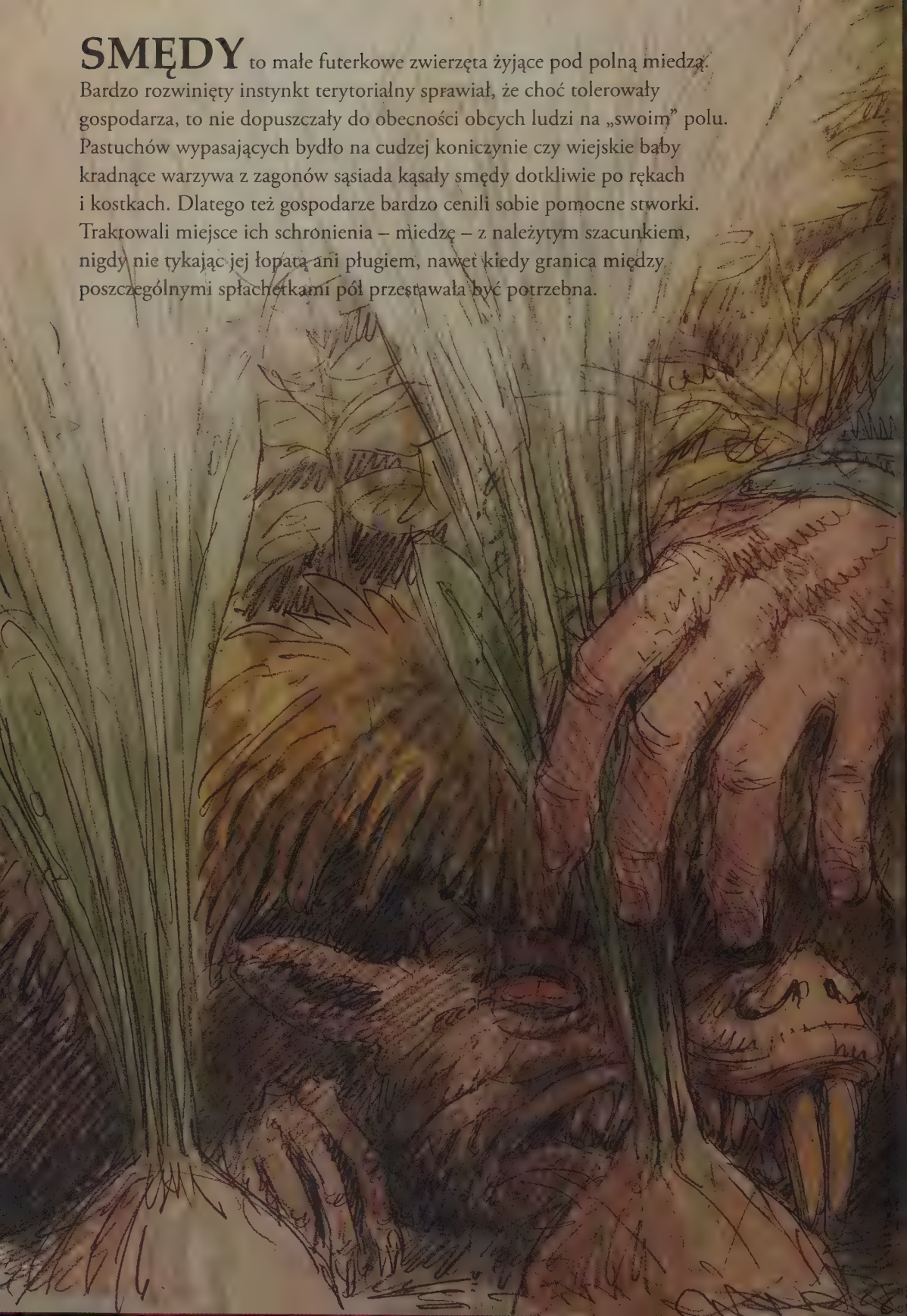

SMOK Ta przerażająca istota pojawiała się w wielu podaniach i legendach niemal na całym świecie, prawie zawsze jako symbol zła i zniszczenia. Smoki przypominały nieco olbrzymie jaszczury, przy czym w przeciwieństwie do innych gadów mogły mieć kilka najeżonych kłami głów, wielkie błoniaste skrzydła i ognisty oddech. Niezwykle trudne do pokonania w walce wręcz potwory potrafiły w pojedynkę terroryzować całe królestwa. Wymuszały na ludziach regularne daniny: każdy oddawał to, co miał najcenniejszego. Wieśniacy przyprowadzali bydło, kupcy przynosili złoto, zaś arystokracja oddawała dziewice – przy czym smok nigdy się nie nasycał i łaknął coraz większych ofiar. Kraj biedniał, wsie i miasta się wyludniały, a dziewicę trudniej było spotkać niż perłowego jednorożca. Całe szczęście, zawsze w okolicy prędzej czy później znajdował się śmiałek, który – czy to zręcznie kierowanym orężem, czy sprytnym sposobem – uśmiercał gada i zyskiwał wieczną chwałę oraz zgromadzone przez potwora skarby.

Smok wawelski pozostaje oczywiście najbardziej znanym polskim przedstawicielem swojego gatunku. W prasłowiańskich czasach zamieszkiwał on jamę wydrążoną w wawelskim wzgórzu. Pierwszy zapis o bestii i legendzie z nią związanej sporządził w XII wieku mistrz Wincenty Kadłubek i była to pierwotna wersja znanej do dziś historii dzielnego Szewczyka Dratewki. On to, przypomnijmy, podrzucił smokowi do zjedzenia barana wypchanego smołą i siarką, od których to substancji gadzinie zaczęły płonąć wnętrzności. Aby ugasić palące pragnienie, bestia zaczęła łapczywie pić wodę z Wisły, co chyba nawet w przedindustrialnych czasach nie było specjalnie mądrym pomysłem. Dość powiedzieć, że gadzina nadęła się jak purchawka i ku uciesze mieszkańców grodu rozpadła na tysiąc kawałków, a Szewczyk stał się bogatym i sławnym człowiekiem. Do dziś smok wawelski pozostaje najbardziej chyba rozpoznawalnym symbolem Krakowa.

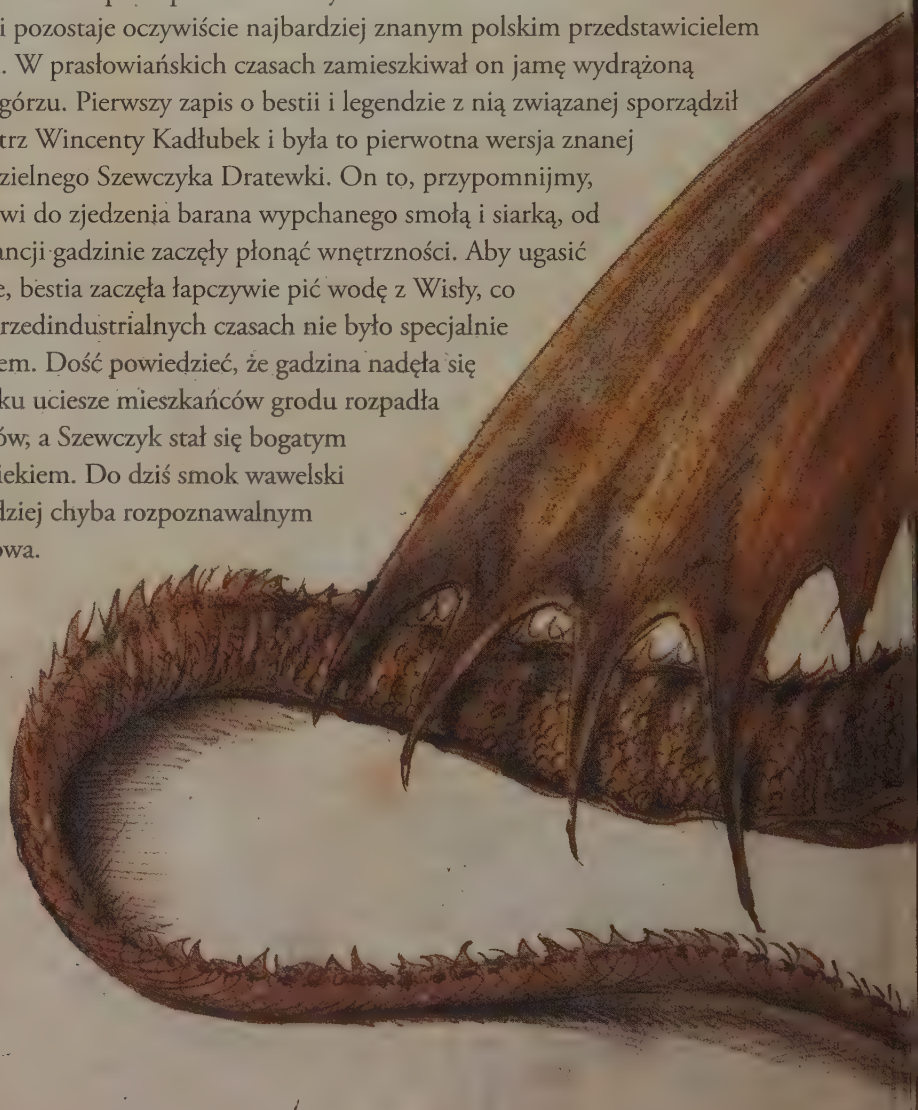

W XVII wieku Smocza Jama pod Wawelem stała się jeszcze sławniejsza, a to za sprawą mieszczącej się w niej karczmy i… zamtuza. Sam przesławny Jan Andrzej Morsztyn wychwalał uroki tego przybytku w wierszu *Do Piotra o swoich księgach*:

Kto nowicjat odprawiał w Lublinie
Na Czwartku, kto wie, jakie gospodynie
W warszawskiej baszcie, na mostkach we Lwowie,
Co za szynk w Smoczej Jamie przy Krakowie.

SPALENIEC to duch, który błąka się po ziemi, by odpokutować jedną z najcięższych zbrodni, jaką znała polska wieś: podpalenie. Podpalacza złapanego na tym gorącym uczynku rzadko oddawano pod sąd; znacznie częściej wrzucano go od razu do ognia, który sam wzniecił. Taka bezwzględność miała skutecznie odstraszyć innych potencjalnych piromanów. Wiejska zabudowa, najczęściej drewniana i kryta strzechą, płonęła błyskawicznie. Nie znano skutecznych metod gaszenia, ograniczano się więc czasami do praktyk magicznych: na Polesiu na przykład w celu stłumienia pożaru obiegano płonący budynek z chlebem trzymanym w rzeszocie. Zazwyczaj jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić poszkodowany, było wyniesienie z płonącej chałupy dobytku i wyprowadzenie zwierząt z obory. Co gorsza, pokrzywdzony gospodarz często nie mógł liczyć na to, że inni mieszkańcy wsi przyjmą go pod swój dach. Wierzono bowiem gdzieniegdzie, że ogień „idzie" za pogorzelcami. Nie dziwi więc, że podpalacze byli znienawidzeni tak bardzo, iż nawet po śmierci ich kara się nie kończyła.

SRALA inaczej kręciek, to znany w całej Polsce demon wiru powietrznego. Miał postać małego kudłatego ludzika ubranego w czerwony strój i kapelusz z szerokim rondem, pod którym chował trzy sterczące z głowy rogi. Krążąc po świecie w słupie wirującego powietrza, srala dokuczał ludziom, głośno się przy tym śmiejąc. Rozrzucał kopki siana, niszczył zboże albo zrywał z budynków strzechę. Jeśli jakiś śmiałek chciał powstrzymać kręcącego się demona, rzucał w niego nożem. Celnie trafiony srala znikał wśród jęków i złorzeczeń.

STRADCZĘ to kolejna z istot powstałych z martwego, nieochrzczonego dziecka; w przeciwieństwie jednak do swoich demonicznych pobratymców, nie bywało agresywne. Siedem lat po swojej ludzkiej śmierci zjawiało się stradczę w domu rodzinnym, prosząc o chrzest. Jeśli rodzice nie spełnili tej prośby (na przykład nie mogąc wykrztusić słowa na widok uskrzydlonego trupka), demon znikał. Po upływie następnych siedmiu lat wracał i ponawiał wezwanie. Dopiero kiedy ta i następna, trzecia wizyta nie odniosły skutku, a struchlali wieśniacy nadal nie chcieli ochrzcić opierzonego stworka, ten zaczynał się irytować. Działając zgodnie ze staropolską maksymą „Jak nie prośbą, to groźbą", zsyłał na gospodarzy potworne wizje i koszmary, a także straszył ich przeraźliwym wrzaskiem. To wystarczało, by przekonać najbardziej opornych do ochrzczenia nieszczęsnego potworka i zbawiona dusza dziecka mogła wreszcie ulecieć do nieba.

Od średniowiecza chrzest był bardzo ważnym momentem w życiu każdego noworodka. Zazwyczaj odbywał się uroczyście w kościele parafialnym, w obecności rodziny i znajomych. Jeśli jednak dziecku groziło niebezpieczeństwo śmierci, można je było ochrzcić w domu, czasem nawet jeszcze w trakcie porodu (wypowiadano wtedy formułę: „Jeśli żyjesz, ja cię chrzczę").

STRZYGA to żeński demon o starej, jeszcze prasłowiańskiej genezie. Jego nazwa pochodzi prawdopodobnie od rzymskiego słowa *strix* – czyli „puszczyk". Starożytni wierzyli, że pod postacią tych ptaków zmarli wracają na ziemię, by wysysać krew z dzieci. Strzygami stawali się ludzie o dwóch sercach i – co za tym idzie – dwóch duszach. Po śmierci jedna z nich odchodziła w zaświaty, a druga ożywiała ciało nieboszczyka i zamieniała go w rządnego krwi demona. Każdej nocy strzyga wstawała z grobu, by nasycić swój głód. Chude, ale umięśnione ciało, blada cera, zapadnięte, czerwone oczy, podwójny rząd ostrych zębów i długie na sztych pazury – ten widok był dla wielu jej ofiar ostatnim w życiu. Istniały dwa sposoby na powstrzymanie bestii: jeden dla odważnych – trzeba było przeleżeć w jej legowisku do świtu twarzą do ziemi – drugi dla rozważnych – należało spalić ją w chwili, gdy pozostawała uśpiona. Podhalańscy górale podawali jeszcze trzeci sposób – aby pokonać strzygę, wystarczyło złapać ją na pasek od gaci. Jednak bieganie z opadającą bielizną w jednej ręce i cienkim rzemykiem w drugiej w poszukiwaniu rozwścieczonego potwora nie przyjęło się zbytnio.

Nie wszystkie strzygi były tak krwiożercze i bezmyślnie brutalne. Niektóre potrafiły zadziwić wyrafinowaną złośliwością: na przykład na Śląsku strzygonie – męskie odmiany strzyg – cięły na ludziach garderobę samym tylko wzrokiem. Dla pozbawionej ubrania ofiary kończyło się to porządną porcją wstydu i koniecznością zakupu nowej odzieży. Nic to jednak przy tym, co wyprawiały strzygi na Podhalu: wchodziły one do chałup tylko po to, by ssać mężczyznom krew z sutków, od czego ofiarom wyrastały kobiece piersi!

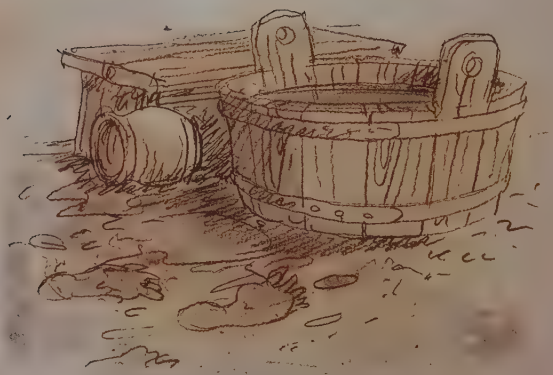

Dla ochrony dzieci przed atakiem strzygi nie wolno było wylewać wody z ich kąpieli po zachodzie słońca ani też myć ich w piątek.

STUKACZ to psotny duszek domowy, który straszył ludzi przeróżnymi niespodziewanymi hałasami. Swoje harce wyczyniał najczęściej nocą. Głośne szuranie i tupanie na strychu, drapanie desek podłogi od spodu, skrobanie czy potrącanie naczyń w kredensie – to jego sprawka. Choć niejeden człowiek był z jego powodu narażony na bezsenną noc, palpitację serca i rozstrój nerwowy, to tak naprawdę niewielu może się pochwalić tym, że stukacza widziało na własne oczy. Ci, którzy go spotkali, mówili, że miał nogi cienkie jak patyki, dużą, kudłatą głowę, a w niej osadzone ogromne, wyłupiaste oczy świecące czerwonym światłem. Może to i prawda, a może wymysł i fantazja, zaś wielkie oczy miał tylko strach, który potrafił stukacz w ludziach wzbudzić.

SYRENY to pół kobiety, pół ryby, które przypłynęły do Polski z Zachodu dość późno, bo około XV wieku. Zadomowiły się w przybrzeżnych wodach Bałtyku i po niedługim czasie można je było spotkać na całym niemal Pomorzu. Nigdy jednak nie stały się w naszym kraju zbyt popularne i niewiele pozostało ludowych podań i opowieści z nimi związanych. Wyjątkiem jest ta najbardziej znana i rozpoznawalna – syrenka z herbu Warszawy.

Na najstarszej pieczęci miejskiej z 1390 roku w herbie Warszawy znajduje się istota o ludzkiej głowie i rękach osadzonych w ptasim tułowiu. Monstrum to miało lwi ogon i nogi wołu. W następnych stuleciach istota traci smocze skrzydła i ptasie łapy, by stać się sympatyczną syrenką, jaką znamy dzisiaj. Postać z herbu Warszawy ulegała zmianom, ale zawsze dzierżyła w rękach tarczę i miecz, przypominając o trudnej i burzliwej historii stolicy.

SZALIŃC zwany także morskim purtkiem, był kaszubskim demonem, który mieszkał na dnie morza w całkowitych ciemnościach. Kiedy wypływał na powierzchnię – a nie zdarzało się to na szczęście zbyt często – wywoływał straszliwy sztorm. Gdy gwałtowny morski wiatr wzbudzał olbrzymie fale, zatapiał statki i wywracał rybackie łodzie, ludzie mawiali przerażeni, że to szalińc się kąpie. Tylko twardzi kaszubscy maszopi, którzy nie raz rabowali okręty wepchnięte przez wiatr na skały, zacierali ręce z radości i pili zdrowie „morskiego diabła".

SZARLEJ to zły i mściwy stwór zamieszkujący śląskie kopalnie kruszców, między innymi te w Tarnowskich Górach i w Bytomiu. Na ulubioną rezydencję upatrzył sobie jednak kopalnię w Olkuszu. Kiedy około XVI wieku znajdujące się tam płytkie pokłady srebra wyczerpały się i ludzie zaczęli drążyć głębiej, szarlej robił wszystko, by przegonić gwarków z podziemi: zasypywał korytarze, zalewał je wodą, obrywał ze stropu olbrzymie głazy i łamał drewniane stemple jak zapałki. Górnicy złorzeczyli duchowi, ale nie zniechęcali się do dalszej pracy i wydobycie szło pełną parą.

Do czasu. Czego nie potrafił zdziałać zły demon, sprawili sami ludzie: w czasie potopu Szwedzi zdobyli Olkusz, splądrowali miasto i kopalnię, a górników zabrali do robienia podkopów przy oblężeniu Jasnej Góry. Tam wszyscy gwarkowie ponieśli śmierć z ręki obrońców. Sztolnie opustoszały, zaś szarlej znów stał się jedynym i niepodzielnym władcą swego podziemnego królestwa.

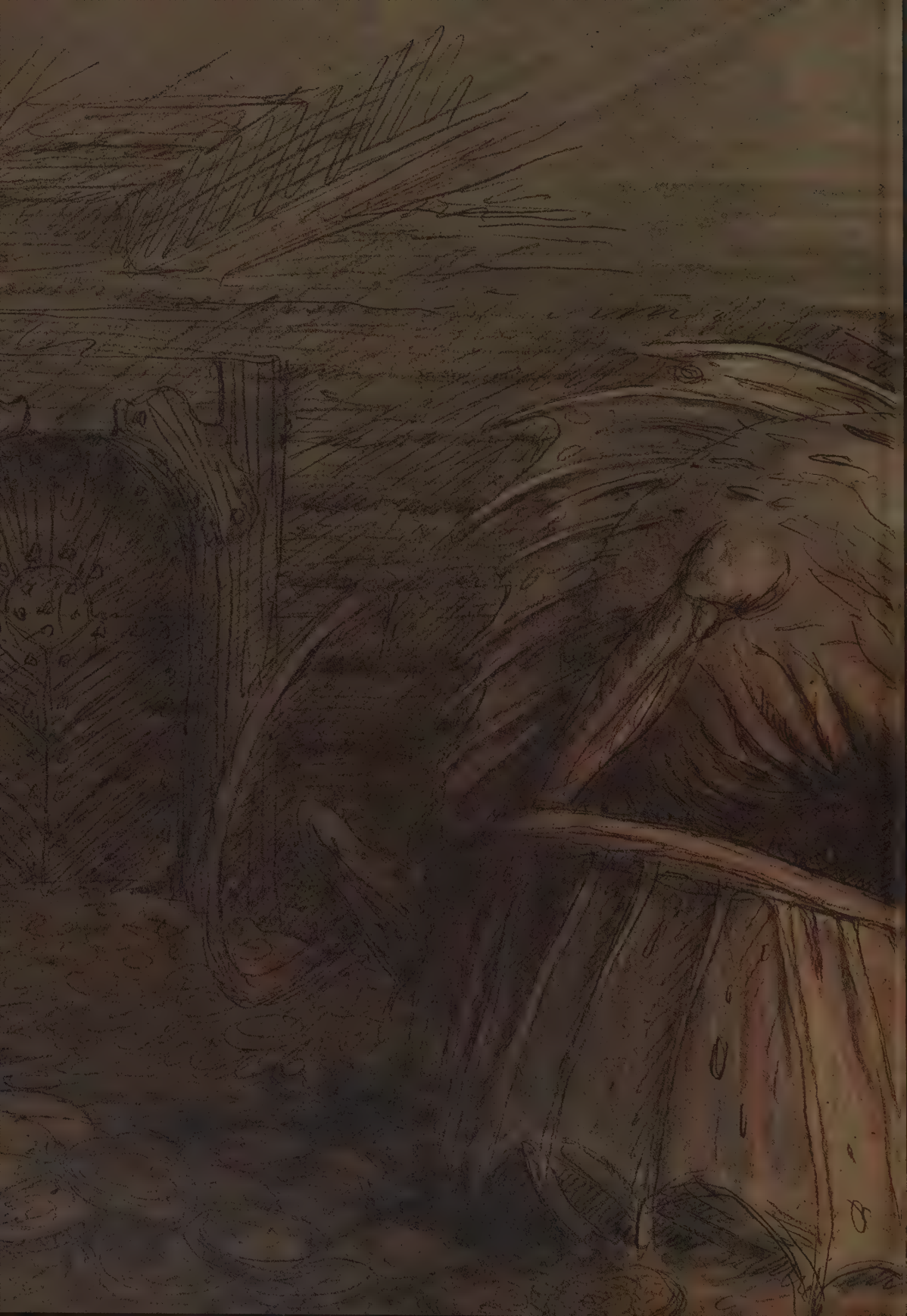

SZĄTOPIERZ to żyjący na Kaszubach zły duch, który w zamian za oddanie duszy potrafił uczynić człowieka niewyobrażalnie bogatym. Swym wyglądem demon łudząco przypominał zwykłego nietoperza, możemy się więc domyślać, że przypisywano mu też podobne, niezbyt sympatyczne właściwości – wierzono bowiem, że nietoperze to istoty przewrotne i złe. Przelatując nad człowiekiem, mogły przerzucić nań swoje wszy, sprowadzić kołtun, odebrać rozum lub nawet urwać głowę i zabrać duszę do piekła. Potrafiły też wyssać śpiącemu mózg albo wkręcić się we włosy i rozlać w plamę smoły. Jednak rzeczą, za którą nietoperzy nienawidzono najbardziej, był fakt, że potrafiły wlatywać do komina, by podgryzać swoje ulubione przysmaki: wędzącą się tam szynkę i pyszną, soczystą słoninę.

ŚMIERĆ była nieśmiertelną istotą, która chodziła po świecie od początku jego istnienia. W naszej części świata przybierała postać kościotrupa odzianego w białą płachtę. Jej zadaniem było – i jest – wysyłanie żywych istot „na tamten świat", przeprowadzanie ich „na drugą stronę", czyli po prostu – ich uśmiercanie. Korzystała przy tym śmierć z bogatego asortymentu broni: od najbardziej znanej kosy, przez łuk, nóż czy kiścień, którym wyciągała z człowieka duszę, po sierp lub młot (sic!). Jej zjawienie się w domostwie poprzedzały różne znaki: wycie psów, hukanie sowy czy dziwne jęki i zawodzenie.

Nie zawsze śmierć przybywała po to, by od razu zabrać człowieka ze sobą. Jeśli po wejściu do izby stawała przy nogach chorego, istniała szansa na jego wyleczenie. Dopiero gdy podeszła do wezgłowia łóżka, oznaczało to niechybny koniec. Stąd wziął się ciekawy zwyczaj – krewni przewlekle chorego, chcąc skrócić jego męki (albo mieć wreszcie święty spokój), nie czekali, aż śmierć się ruszy, tylko sami przekręcali łóżko umierającego o 180 stopni. Słowem: średniowieczna eutanazja.

Z czasem, przebywając dużo wśród ludzi, śmierć nabrała ludzkich cech. Bywało, że spełniała ostatnie życzenie umierającego lub też że nad kimś się zlitowała i dała mu kilka dodatkowych lat życia. Niekiedy nawet, jeśli wierzyć legendom, zostawała matką chrzestną!

Śmierć pojawiała się też pod postacią różnych zwierząt, na przykład w Małopolsce przybierała kształt wielkiej świni, a na Śląsku – śnieżnobiałej gęsi.

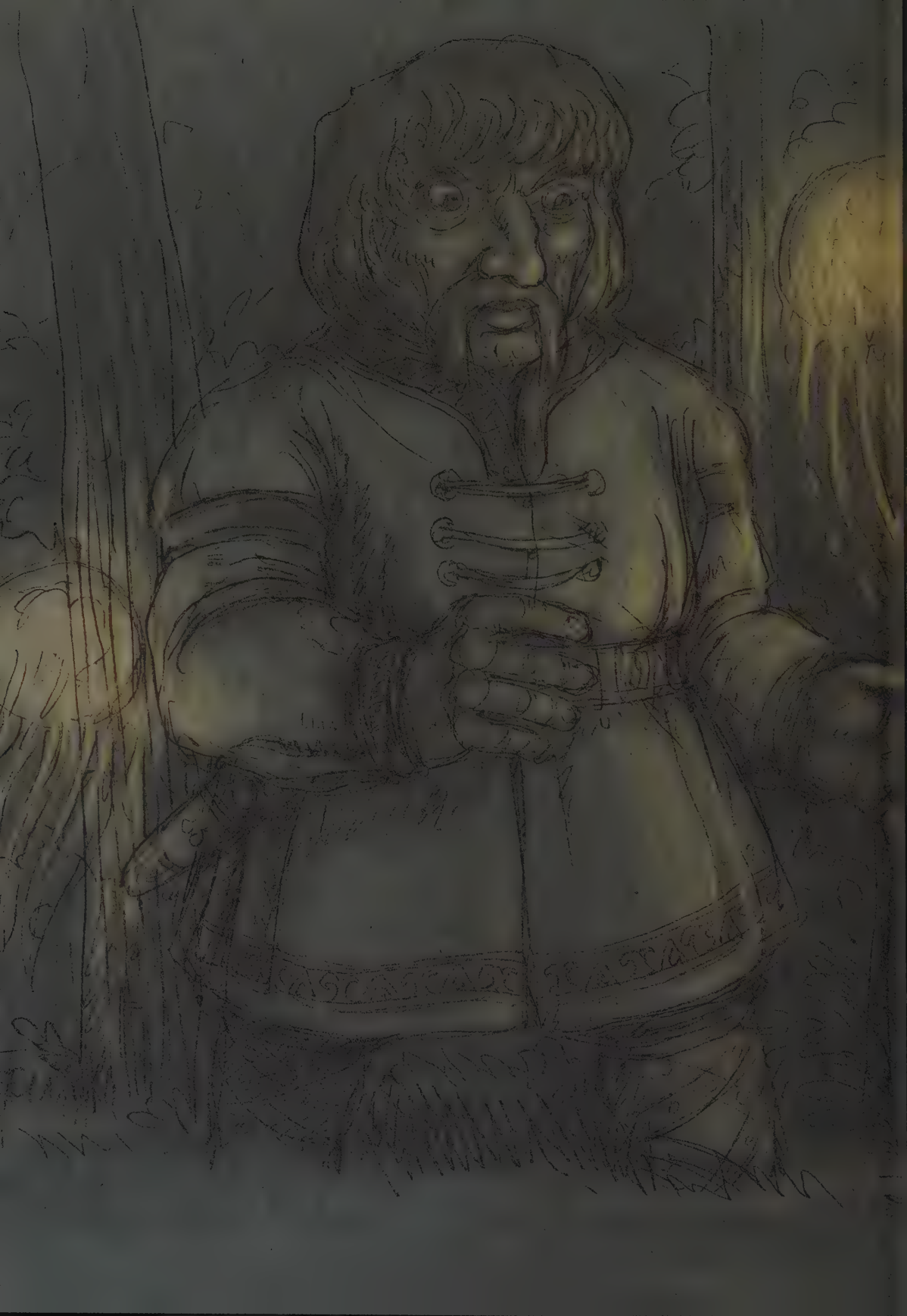

ŚWIETLE to dobre duszki, które pomagały zagubionym w ciemnościach ludziom. Zjawiały się w nocy pod postacią świetlistych kul, zawsze wtedy, gdy ktoś uczciwy szczerze prosił o pomoc. Sprowadzały zagubionych wędrowców z powrotem na trakt, przytrzymywały przy naprawie łodzi lub ostrzegały przed czyhającym się w mrokach niebezpieczeństwem. Znane są przypadki, gdy świetle pojawiało się tylko po to, by odpalić fajkę komuś, kto nie miał przy sobie krzesiwa i krzesiwka. W zamian za to należało mu podziękować grzecznym „Bóg zapłać". Jeśli łotrowi ktoś tego nie dopełnił, okazując mu gburem i niewdzięcznikiem, rozzłoszczone świetle mogły go błyskawicznie zamienić w dymiącą kupkę popiołu.

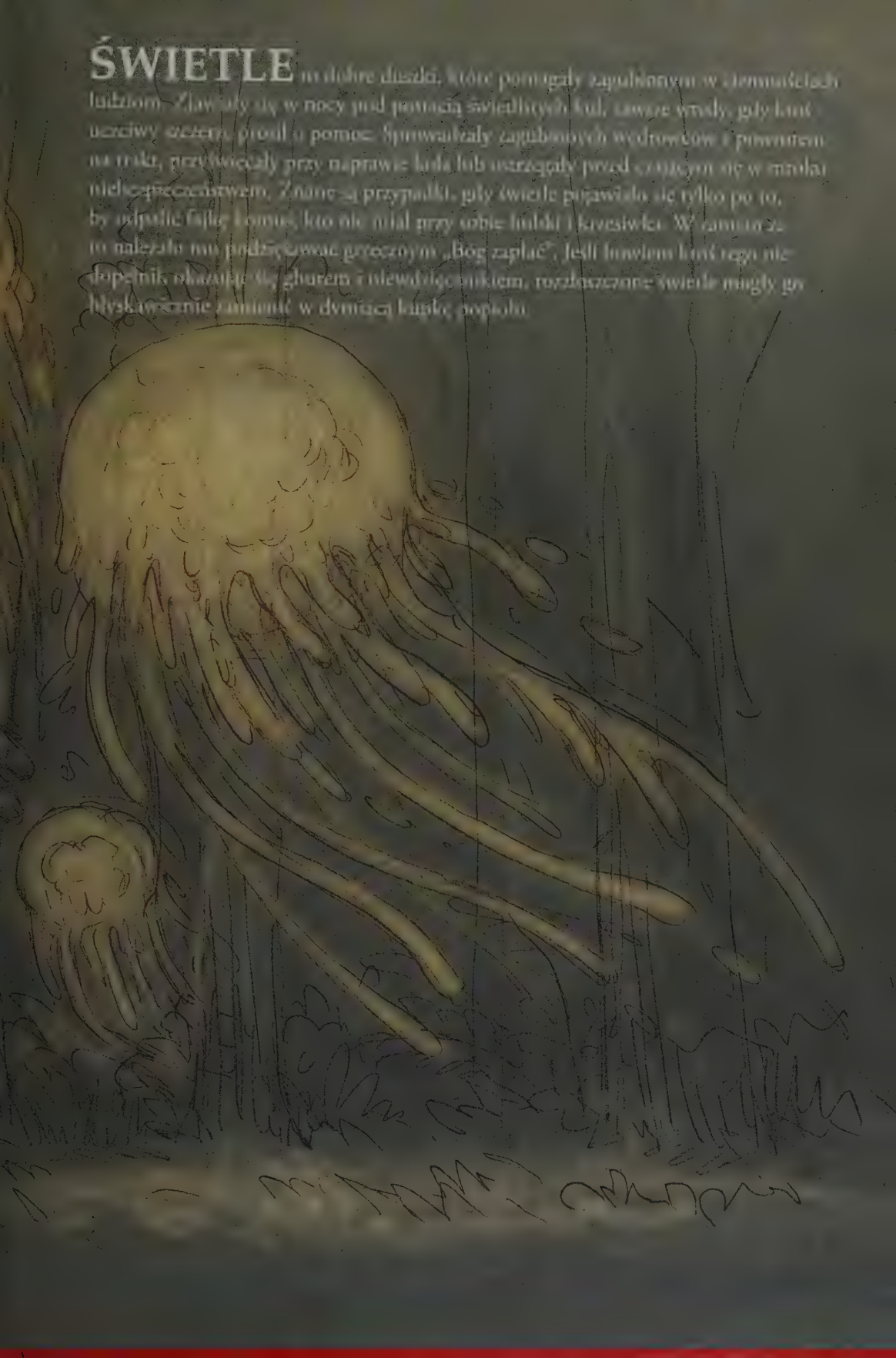

TĘSKNICA Owo blade kobiece widmo sprowadzało na człowieka nieuleczalny smutek. Spotkać ją można było przy cmentarzach i na rozstajach dróg, gdzie przechadzała się z wolna, ubrana w szarą płachtę i z wiankiem suchych paproci na głowie. Jeśli w swej wędrówce napotkała samotnie rozmyślającą osobę, przysiadała się do niej, obejmowała i całowała w usta. Tak naznaczony człowiek popadał w stan głębokiej, odbierającej chęć do życia melancholii (dziś znanej pod nazwą depresji). Tak przynajmniej wierzył prosty lud. Medycy bowiem od czasów Hipokratesa wiedzieli, że melancholię powoduje zbyt duża ilość czarnej żółci w organizmie. Ta gęsta, żrąca ciecz miała być, obok krwi, żółci i śluzu zwierzęcego, jednym z czterech humorów – płynów ustrojowych, których wzajemne proporcje w ludzkim organizmie wpływały na zdrowie psychiczne i fizyczne człowieka.

Do leczenia melancholii zalecano najczęściej ciemiernik – roślinę o silnie toksycznym działaniu. Wymioty i biegunka, którą wywoływała, miały spowodować wydalenie przez pacjenta nadmiaru czarnej żółci, a tym samym przywrócić optymizm i chęć do życia.

TRUSIA to wielki, kilkunastometrowy wąż, występujący niegdyś w górach i lasach całego dorzecza Raby. Mimo imponujących rozmiarów potrafił on w sobie tylko znany sposób unikać ludzkiego wzroku. Robił to zadziwiająco skutecznie. Niejeden góral z Rabki czy Rokicin nie miał pojęcia, iż w jego gospodarstwie, w norze wykopanej pod stajnią lub oborą, żyje olbrzymi gad. Gorzej, gdy nieświadomy gospodarz próbował zabić lub zranić jakiegoś bezbronnego zaskrońca czy jaszczurkę. Rozwścieczony tym widokiem trusia rzucał się do ataku, a człowiek dowiadywał się o jego obecności na chwilę przed własną śmiercią.

UTOPIEC na Śląsku zwany nurkiem, był wodnym demonem powstałym z samobójcy, który zakończył swe życie w głębinach. Zamieszkiwał w wodach śródlądowych: rzekach, jeziorach i stawach, a nawet studniach czy przydrożnych rowach. Tych, którzy weszli do zamieszkanego przez niego akwenu, wciągał znienacka pod powierzchnię i topił. Miał przy tym niesamowitą siłę; często bywało, że jego ofiarą padały duże zwierzęta gospodarskie, jak woły czy konie. Utopca spotkać można było czasem na brzegu; działo się to zazwyczaj w księżycową noc, kiedy to demon, zwabiony srebrną poświatą, opuszczał swoje królestwo. Nie bywał jednak wtedy tak niebezpieczny jak w swoim naturalnym środowisku; przesiadując na moście lub grobli, lubił pykać sobie fajkę.

Czasami utopcem stawał się niemowlak, którego wyrodna matka utopiła w jeziorze. Taki nieochrzczeniec po siedmiu latach powracał pod postacią małego, zielonego stworka o wielkiej głowie, wyłupiastych oczach i długich zielonych włosach. Czyhał na swoją zabójczynię, by przy pierwszej nadarzającej się okazji wciągnąć ją do wody i utopić. W dawnej wsi polskiej panowało przekonanie, że ratując kogoś tonącego, samemu narażało się na zemstę utopca; dlatego jego potencjalna ofiara mogła liczyć tylko na siebie. Dla ochrony przed demonem noszono więc przy sobie łyko lipowe, różaniec lub święconą kredę. Albo procę i guziki od ślubnego stroju. Wszystko to jednak były mało praktyczne artefakty, o czym przekonał się każdy, kto próbował odmówić choćby jedną cząstkę różańca wciągany za nogi do wody przez oślizłego, nadludzko silnego stwora. Dlatego zazwyczaj starano się po prostu omijać miejsca zamieszkane przez utopca szerokim łukiem.

Utopce prowadziły pod wodą normalne życie towarzyskie. Czasami żeniły się, zakładały rodziny, wychowywały dzieci. Niekiedy, wędrując po bezdrożach, można było spotkać taką utopcową familię wędrującą po polach. Znaczyło to, że stwory wyprowadziły się z jakiegoś akwenu i szukają sobie nowego miejsca zamieszkania.

WĄPIERZ W dawnych wiekach bywało, że po śmierci ciało nieboszczyka, miast użyźnić cmentarną glebę, wstawało nocą z grobu, by nękać ludzi i wypijać z nich krew. Taki żywy trup nazywany upiorem, wampirem lub wąpierzem; choć miał z grubsza ludzkie kształty, był większy i silniejszy od każdego człowieka. Czerwona, napuchnięta od wychłeptanej posoki skóra (popularne było powiedzenie: „czerwony jak upiór"), długie kły i szpony, czasem jakaś dodatkowa deformacja – taka jak brak nosa czy jama ziejąca w plecach – nadawały mu iście szatański wygląd. Potwornego obrazu dopełniał straszliwy smród, który się wokół niego zawsze roztaczał. Posiadał wampir wiele zdolności

niedostępnych zwykłym śmiertelnikom: potrafił latać, stawać się niewidzialny, zmieniać się w zwierzę, był nieczuły na rany, umiał też hipnotyzować i usypiać swoje ofiary. Całą swoją siłę czerpał z krwi ofiar; bez niej tracił moc, chudł i zaczynał się rozkładać.

Szczególnie niebezpiecznym aspektem działalności wampira było to, że jego ofiary, jeśli zmarły, same zmieniały się w upiory, dlatego każdy atak bestii powodował natychmiastową mobilizację całej społeczności. Rzucano się do rozkopywania grobów i sprawdzania stanu zwłok. Jeśli trup wyglądał świeżo i był rumiany jak jabłuszko, znaczyło to oczywiście, że jest wampirem, należało go więc czym prędzej unieszkodliwić. W tym celu stosowano wiele różnych praktyk: wiązano nieboszczykowi kończyny i odwracano go twarzą do ziemi, obcinano mu szpadlem głowę, wbijano w czaszkę stalowy gwóźdź lub osikowy kołek w serce, czy wreszcie po prostu palono jego ciało.

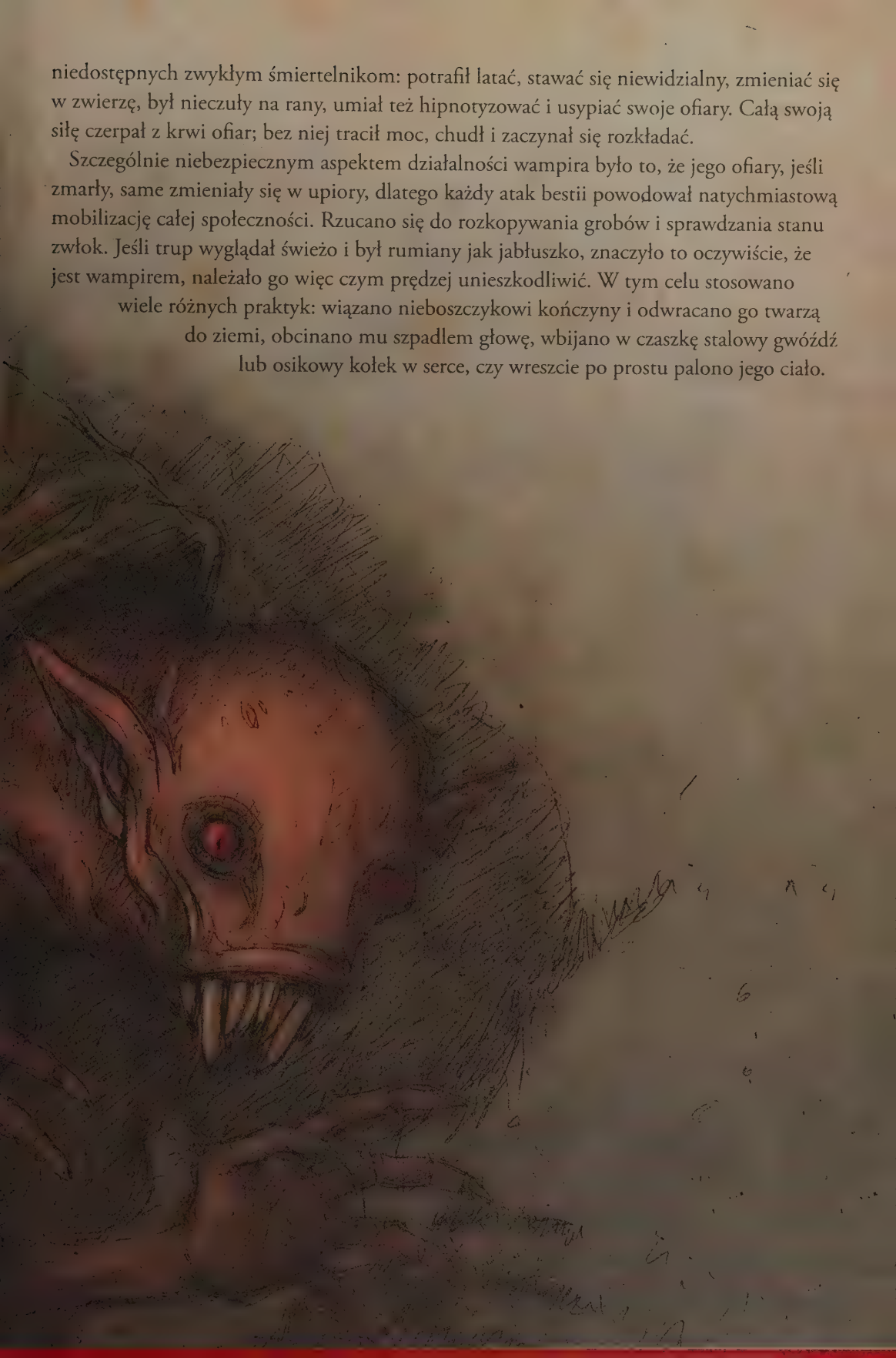

WIELKOLUDY Olbrzymy, zwane po kaszubsku stolemami, to lud gigantów zamieszkujący niegdyś tereny dzisiejszego Pomorza i Mazur. Dość podobni do ludzi, byli jednak od nich kilkakrotnie więksi. Wyginęli prawie zupełnie w czasie biblijnego potopu. Nieliczni przedstawiciele tego gatunku przetrwali jeszcze jakiś czas w najdzikszych ostępach leśnych, lecz w końcu i stamtąd zostali wyparci przez ludzi. Jedyną po nich pozostałością stały się wielkie kości (wieszane czasem nad wejściami do kościołów) oraz olbrzymie głazy polne – być może szczątki ich wielkich budowli.

W podaniach i legendach przetrwało kilka dość niezwykłych imion wielkoludów, takich jak: Wyrwidąb, Waligóra, Toczygroszek czy Łomiżelazo.

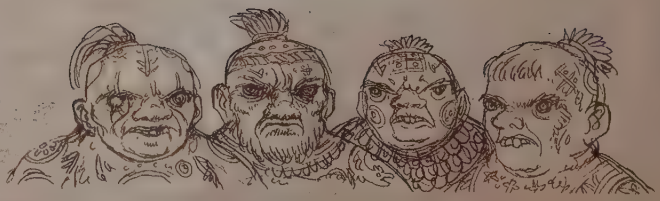

WIESZCZY Jeśli człowiek rodził się z wyrośniętymi już zębami, był to niechybny znak, iż po śmierci stanie się upiorem: wieszczym. Będzie opuszczał swoją mogiłę, wchodził na kościelną wieżę i straszliwym głosem wywrzaskiwał imiona swoich bliskich. Ci z nich, którzy to usłyszą, umrą jeszcze tej nocy. Aby powstrzymać wieszczego, należało otworzyć jego grób i wykraść mu koszulę, bowiem w dawnych wiekach nawet upiór wstydził się biegać po świecie z gołym zadkiem.

WIETRZYCA to złowroga, nieprzyjazna ludziom, powietrzna istota występująca na Podhalu. Pojawiała się wraz z gwałtownym podmuchem wiatru, którym sprowadzała na ludzi kalectwo, odejmowała im mowę lub łamała ręce i nogi.

WILKOŁAK to człowiek, który na skutek rzuconej klątwy lub czaru zmieniał się w dziką bestię. W pół wilczej, pół ludzkiej postaci błąkał się po bezdrożach, atakując ludzi i zwierzęta. Nie można go było zranić inaczej niż poświęconą bronią. Gdy wilkołakiem z własnej woli zostawał czarnoksiężnik, mógł w każdej chwili wrócić do ludzkiej postaci. Jeśli natomiast w bestię zmieniony został ktoś bez swojego udziału i wiedzy, zazwyczaj była to forma kary, skazująca nieszczęśnika na wiele lat życia w zwierzęcych kształtach. Wilkołaki znane były od starożytności – wzmiankę o nich spotykamy już u Herodota. Istnieje też wiele średniowiecznych przekazów mówiących o ich potwornej działalności; z nich to wiemy, że w wilki zmieniały się nie tylko pojedyncze osoby, ale całe grupy – na przykład weselników. W XVI i XVII wieku umiejętność zmiany w bestię zaczęto przypisywać wspólnikom szatana. W aktach sądowych tamtej epoki spotykamy przypadki procesów o wilkołactwo. Aby uchronić się przed atakiem tych bestii, należało zwrócić się w modlitwie o wstawiennictwo świętego Mikołaja, który był patronem „od wilków".

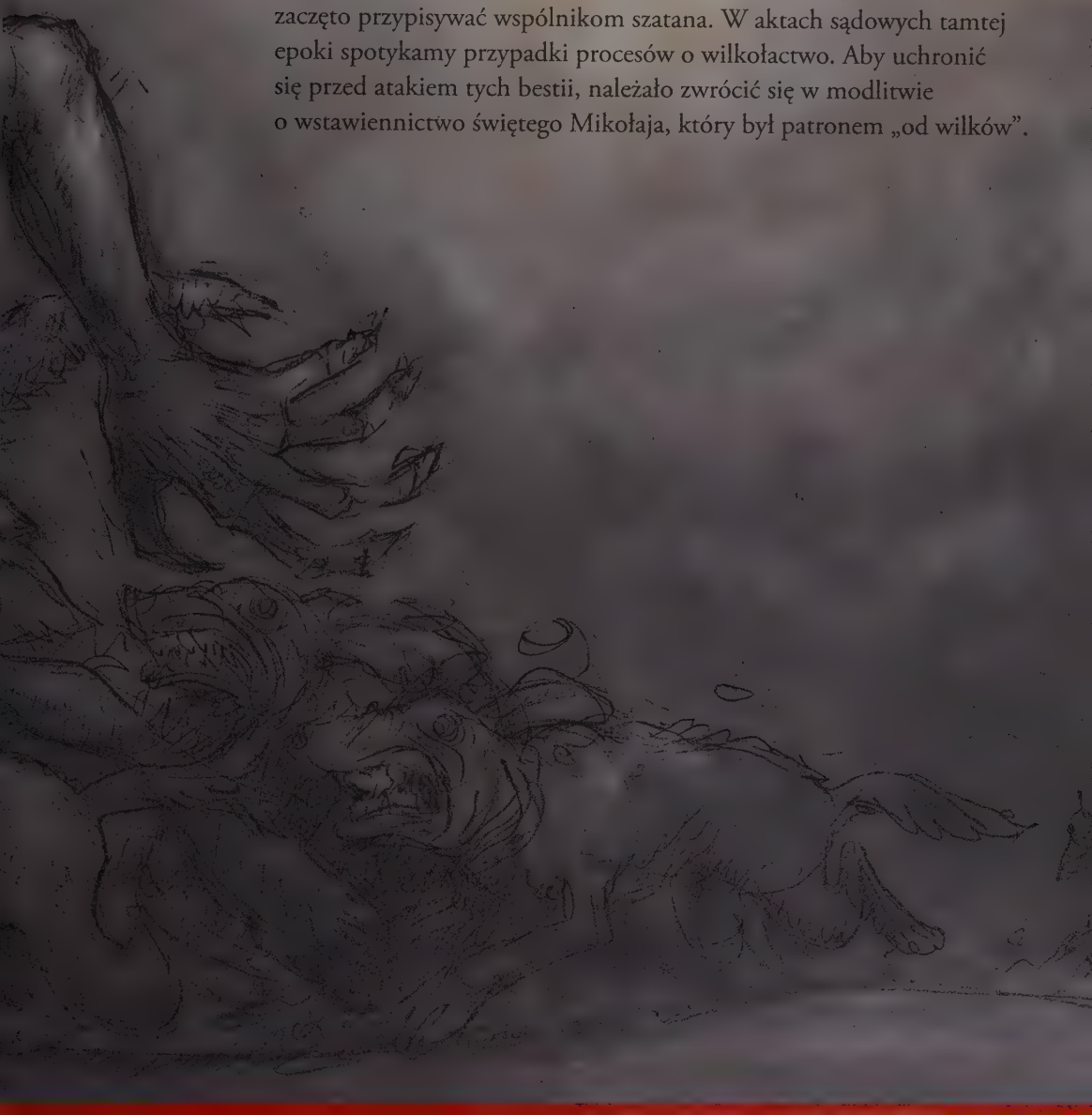

WIŁY to słowiańskie nimfy leśne. Czasem spotkać je można było na zagubionej w borze polanie, gdzie te piękne, ubrane tylko w zwiewne, białe koszule istoty tańczyły swój ekstatyczny taniec. Biada jednak temu, kogo wciągnęły do swojego kręgu; taki śmiałek bywał zazwyczaj „zatańcowywany" na śmierć. Wiły miały postać urodziwych dziewcząt o bladej cerze i zielonych włosach. Niektórzy twierdzili, że pod białą suknią ukrywały końskie nogi. Nie wiadomo, czy to prawda, jednak z pewnością pasowałoby to do ich pół ludzkiej, pół zwierzęcej natury. Potrafiły bowiem wiły być zarówno pomocne i miłe, jak też okrutne i niebezpieczne. Czasem opiekowały się całymi wsiami, innym razem zsyłały na pola grad. Uczyły ludzi lecznictwa, jednak potrafiły też zabijać intruzów, którzy zbytnio się do nich zbliżyli. Były więc wiły uosobieniem natury – tak jak ona piękne i groźne zarazem.

WISIELEC Haniebna i bezbożna śmierć, jaką było samobójstwo przez powieszenie, zawsze spychała ludzką duszę w objęcia diabła. Przy akompaniamencie wyjącego wiatru i upiornych śmiechów duch odchodził na wieczne potępienie, ciało zaś dyndało sobie, czekając na pochówek. Z tym jednak sprawa nie była prosta: samobójca ściągał bowiem na całą wieś nieszczęście, dlatego jego trup wzbudzał skrajne obrzydzenie. Każdy, kto go dotknął, uważany był za nieczystego i godnego pogardy, dlatego zajmowali się tym zazwyczaj przyjezdni. Czekanie na odpowiedniego człowieka mogło zająć całe tygodnie! Gdy znalazł się taki, ciało samobójcy należało wyciągnąć z chałupy przeciągając je pod progiem, a następnie zakopać poza terenem wsi, na przykład na rozstajach dróg (idealnym rozwiązaniem było też podrzucenie trupa mieszkańcom sąsiedniego sioła). Nic więc dziwnego, że tak potraktowany zmarły często nie mógł zaznać spokoju i wracał na ten świat w postaci demona: wisielca. Poznać go można było po pętli na szyi, czerwonych wywróconych oczach i długim jęzorze. Wisielce po opuszczeniu płytkiej mogiły (bądź zerwaniu się ze sznura) przysiadały najczęściej na gałęziach lub belkach pod dachem. Ukryte w ciemnościach, czekały na bezbronnych przechodniów, by rzucić się na nich i pomścić swój niegodny pochówek.

O ile ciało wisielca było traktowane z pogardą, to sznur, na którym się powiesił, był bardzo pożądanym i wszechstronnym talizmanem. Dlatego też dzielono go na wiele małych fragmentów. Temu, kto nosił kawałek sznura przy sobie, przysparzał on szczęścia i zdrowia. Karczmarze wrzucali go do gorzałki, by ten, kto jej wypije, zawsze wracał po drugą kolejkę, zaś panny na wydaniu trzymały go w woreczku na szyi w nadziei, że któregoś z kawalerów sznur „uchwyci" i już nie puści.

WODNIK był to demon wodny zamieszkujący jeziora, stawy i rzeki całej Słowiańszczyzny. Lud bał się tej tajemniczej istoty i darzył ją dużym szacunkiem Wiedziano doskonale, że wodnik zwykł wciągać do swego podwodnego królestwa śmiałków, którzy go zlekceważyli, dlatego akweny, którymi władał, starano się omijać z daleka. Jeśli było to jednak niemożliwe, starano się przebłagać demona odpowiednią ofiarą. Raz do roku, zachowując odpowiednią oprawę, intonując zaklęcia i pieśni, topiono w wodzie zamieszkałej przez wodnika jakieś bezbronne zwierzę – najczęściej

kurę (gęsi i kaczki z wiadomych względów nie wchodziły w rachubę). Zazwyczaj taka drobiowa obiata zadowalała podwodnego władcę i mieszkańcy danej wsi nie byli przez niego niepokojeni aż do następnego roku. Czasem jednak zwykły kurczak nie wystarczał: w XIX wieku zanotowano, iż mieszkańcy jednej z ruskich wiosek, by przebłagać wodnika, kupili za wspólne pieniądze konia, wysmarowali go miodem, przywiązali kamień młyński u szyi, a następnie wrzucili biedne zwierzę w odmęty jeziora. Nie wiadomo, czy wielkość ofiary spowodowana była dużym apetytem wodnika, czy megalomanią rosyjskich chłopów.

ZMORY zwane marami, to dusze żywych ludzi, które nocą, podczas snu, opuszczały ciało swojego „nosiciela", by dusić, wysysać krew i siły życiowe z innych śpiących. Przybierały postać chudej, półprzezroczystej, wysokiej baby o wielkiej, porośniętej gęstym włosiem głowie, ogromnych oczach i smrodliwym oddechu. Bez trudu wślizgiwały się do izby przez najmniejszą nawet szparę. Najczęściej czyniły to pod postacią rozmaitych zwierząt: ciem, komarów czy myszy, siadały człowiekowi na piersiach, wsuwały cienki jak igła język w usta ofiary i ssały krew. Rano znikały, by wrócić do swojego ciała, a męczony przez nie człowiek budził się wyczerpany, bez sił i chęci do życia.

Ofiarą demona padali najczęściej znajomi i sąsiedzi, jednak zdarzało się, że zmory dusiły zupełnie przypadkowych ludzi. Choć zmory, w przeciwieństwie do wielu innych istot demonicznych, prawie nigdy nie doprowadzały do śmierci swoich ofiar, to przez swoją uciążliwość i powszechność występowania zyskały sobie wśród ludu złą sławę. Znano dziesiątki sposobów na przegnanie zmory, żaden jednak nie był w stu procentach skuteczny. Aby ją oszukać, odwracano łóżko o 180 stopni, przestawiano je w inny kąt izby lub rysowano wokół niego poświęconą kredą krąg ochronny. Każde zwierzę, które nieproszone pojawiło się nocą w izbie (zatem mogło być zmorą), przybijano do ściany szydłem lub nożem (przy czym dla żab robiono wyjątek, przygważdżając je… widłami). By odstraszyć demona, smarowano ręce kałem, a piersi czosnkiem. Wymawiano zaklęcia i odczyniano uroki. Wszystko to jednak za nic: uparta i złośliwa mara zawsze wracała.

Niewiasta, która po zaśnięciu stawała się zmorą, nie miała o tym zazwyczaj zielonego pojęcia. Dlatego mogła nią być każda kobieta: sąsiadka, ciotka lub własna żona. Mówiono, że zmorą staje się siódma córka tych samych rodziców albo dziewczynka, przy której chrzcie ksiądz pomylił słowa modlitwy. Albo białogłowa, która ma zrośnięte brwi. Różnie ludzie gadali. Pewne jest to, że problem dotyczył w zasadzie tylko kobiet. A dlaczego? Ano najlepiej wyjaśnił to pewien prosty Ślązak, zapytany przez ciekawskich etnografów: „Jasne, że zmorą jest baba, przecież każdo jest po trosze zmorom".

Zmory dusiły nie tylko śpiących ludzi, ale też zwierzęta domowe, drzewa, krzewy, a nawet kamienie i wodę.

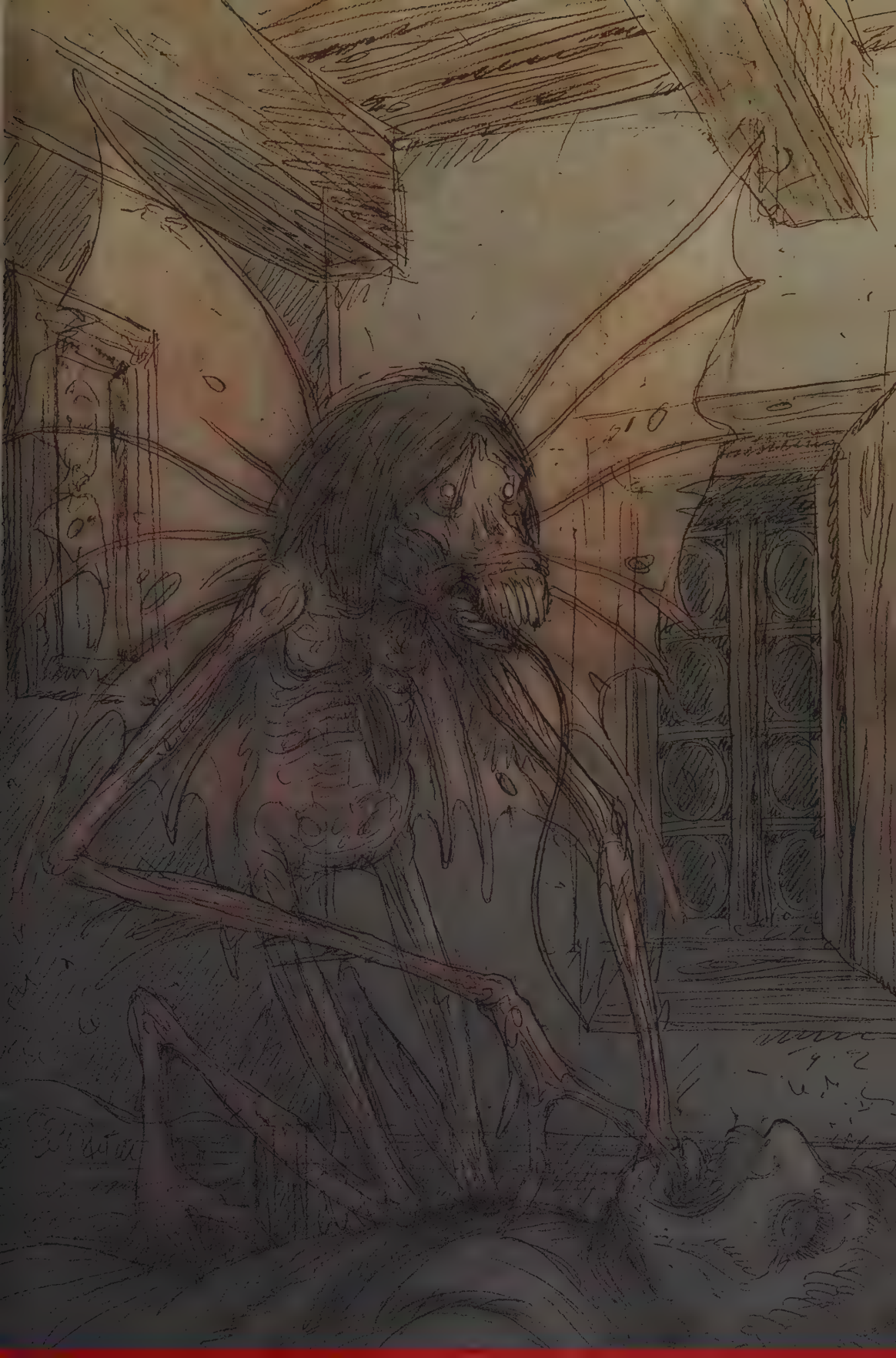

ŻMIJE to według słowiańskich wierzeń olbrzymie, wężopodobne, skrzydlate istoty, które wysysają wodę z rzek i jezior, a następnie więżą ją w obłokach. Czasem, podczas szczególnie potężnej nawalnicy, w burzowych chmurach można było dojrzeć ich wijące się, gigantyczne cielska.

Bibliografia

Bajki śląskie ze zbiorów Lucjana Malinowskiego, wybór, wstęp i oprac. E. Jaworska, PIW, Warszawa 1973.
B. Baranowski, *W kręgu upiorów i wilkołaków*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1981.
R.W. Berwiński, *Studia o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych*, Poznań 1862.
A. Brückner, *Mitologia słowiańska i polska*, PWN, Warszawa 1985.
W. Bunikiewicz, *Żywoty diabłów polskich*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1985.
Diabeł Wenecki. Podania i bajki z Pałuk, Eco, Międzychód 1997.
M. Dowojna-Sylwestrowicz, *Podania żmudzkie*, Warszawa 1894.
E.M. Firlet, *Smocza jama na Wawelu*, Universitas, Kraków 1996.
W. Gaj-Piotrowski, *Duchy i demony w wierzeniach ludowych*, PTL, Wrocław 1993.
M. Gerlich, *Strachy. W kręgu dawnych śląskich wierzeń*, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1988.
A. Gieysztor, *Mitologia Słowian*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1982.
Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, t. I–IV, Warszawa 1972.
W. Grąbczewski, *Diabeł polski w rzeźbie i legendzie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1990.
P. Haining, *Leksykon duchów*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1990.
R. Hope Robbins, *Encyklopedia czarów i demonologii*, Bellona, Warszawa 1998.
T. Jodełka-Burzecki, *Baśnie polskie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1985.
H. Kapełuś, *Księga bajek polskich*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1988.
E. Kawrot, *Katalog magii Rudolfa*, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1955.
A. Kempiński, *Encyklopedia mitologii ludów indoeuropejskich*, Iskry, Warszawa 2001.
O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, różne miejsca i lata wydania.
Kultura ludowa Wielkopolski, red. J. Burszta, Poznań 1967, t. I–III.
T. Linkner, *Słowiańskie bogi i demony*, Gdańsk 1998.
W. Łysiak, *Mnisia góra. Podania i bajki warciańsko-noteckiego międzyrzecza*, Eco, Międzychód 1992.
W. Łysiak, *W kręgu wielkopolskich demonów i przekonań niedemonicznych*, Eco, Międzychód 1993.
S. Maciejewski, *Saga o ginących i uratowanych*, KAW, Kraków 1988.
G. Minois, *Historia starości. Od antyku do renesansu*, Warszawa 1995.
K. Moszyński, *Kultura ludowa Słowian*, Warszawa 1967.
A. Necel, *Demony, purtki i stolemy*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1975.
Nowy kiermasz bajek, Czytelnik, Warszawa 1978.
Opowieści ludu spiskiego, oprac. A. Jazowski, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1967.
B. i A. Podgórscy, *Wielka księga demonów polskich. Leksykon i antologia demonologii ludowej*, KOS, Katowice 2005.
L.J. Pełka, *Polska demonologia ludowa*, Iskry, Warszawa 1987.
L. Siemieński, *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*, PIW, Warszawa 1975.
D. Simonides, *Śląski horror*, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1984.
J. Stankiewicz, *Legendy świętokrzyskie*, KAW, Kraków 1988.
Z powieści i pieśni górali beskidowych, oprac. R. Zawiliński, Warszawa 1889.

LEGENDARZ

Rzecz o skrzatach, wodnikach i rusałkach

Studiując rodzime baśnie, podania i legendy, odnosimy nieodparte wrażenie, iż nasi przodkowie kochali niesamowite opowieści. (...) Przez setki lat historii naszego kraju powstał olbrzymi, barwny i ludny świat polskich wierzeń ludowych. Bestiariusz, który trafił do Państwa rąk, jest skromną próbą zilustrowania tego bogactwa i ukazania choćby jego części współczesnemu Czytelnikowi. Zapraszamy do podróży śladami opowieści naszych przodków, mitów pełnych słowiańskiej magii, tak rzadko obecnej we współczesnej polskiej kulturze.

Autorzy

ISBN 978-83-7576-221-1
9 788375 762211
cena 34,90 zł